ROK 59 WE LWOWIE, 1 MARZEC 1937 R. Nr. 3

ŁOWIEC
ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Do Myśliwych Małopolski

W dniu 5 grudnia 1936 r. uzyskał zatwierdzenie przez Władze statut Polskiego Związku Łowieckiego.

Tym samym łowiectwo polskie zorganizowało się jednolicie i odtąd wszelkie rozstrzelone zabiegi i usiłowania myśliwych około podniesienia kultury łowieckiej w Polsce zogniskują się w rękach zespołu ludzi, najbardziej do tego powołanych przez swe doświadczenia i przez swą chęć do poważnej pracy.

Nie potrzeba się rozwodzić nad ważnością silnej organizacji w łowiectwie, tak jak i w każdej innej dziedzinie, ale, zaznaczamy, że wyda ona tylko wtedy owoce, jeżeli organa i osoby powołane do niej spotkają się ze zrozumieniem i ze współpracą ogółu myśliwych.

Małopolskiemu Tow. Łow. zostało powierzone kierownictwo łowiectwem i pracą jego reorganizacji w czterech województwach małopolskich.

Na obszarze tych województw myśliwi i myśliwskie Towarzystwa tylko przez przystąpienie do Małop. T. Ł. stają się członkami Związku.

M. T. Ł. przystąpiło już do pracy reorganizacyjnej. Na posiedzeniu Wydziału w dniu 13 lutego br. zamianowało we wszystkich prawie powiatach łowczych i podłowczych, którym udzieli w najbliższych dniach szczegółowych instrukcyj działania a z odezwą niniejszą zwraca się do szerokich kół myśliwskich z apelem do ścisłej współpracy z nami, przy czym zaznacza się, że projekt nowelizacji ustawy łowieckiej przewiduje, na wzór niemieckiej, przymus organizacyjny w tym kierunku, że kartę łowiecką będzie mógł otrzymać w przyszłości tylko członek P. Z. Ł. i że tylko taki będzie mógł być dzierżawcą polowań w obwodach spółek łowieckich.

Inż. TADEUSZ SURMIŃSKI

Gospodarstwo leśne a hodowla zwierzyny

Dwa te działy złączone na jednym terenie powinno się ująć tak, aby jeden drugiemu nie przeszkadzał, poza tym prowadzić gospodarstwo leśne tak, aby osiągnąć z niego największe korzyści, zaś z łowiectwa najpiękniejsze rezultaty.

Gleba jest karmicielką tych dwu żyjących na niej tworów natury, roślinności i zwierząt i zależnie od jakości tej gleby będzie się na niej rozwijał tak zwierzostan jak i las.

Umiejętne gospodarstwo leśne jak i łowieckie hodowlane polega na znajomości czynników natury, na podpatrywaniu tego, co natura tworzy, a następnie na wykorzystaniu darów natury, bez zmarnowania pokarmów ukrytych w glebie, któreby mogły nadal posłużyć na wytworzenie tego dobra, które człowiek od niej otrzymuje.

Pamiętajmy o tym, że poprawić tego, co sama natura tworzy, nie potrafimy, a raczej możemy pracę jej popsuć, to piękno i dobro, które ona tworzy.

Zastanówny się nad tym najważniejszym czynnikiem, od którego zależy tak rozwój lasu, jak i zwierzostanu tj. nad glebą leśną.

Nauka leśna powiada, że las sam przez swoje istnienie na glebie użyźnia i poprawia ją. Gdybyśmy nie uprawiali naszych łąk i pól, z czasem stałyby się one lasem, zaobserwujmy jakąś połać ziemi, która pozostawiona jest sama sobie bez żadnego użytkowania, co się na niej dzieje, obsieje się tam brzoza, osika, olcha, jednym słowem gatunki drzew lekkonasiennych, które przez swoje istnienie i wzrost ocieniają glebę i dają opad ściółki, z czasem na tej poprawionej glebie zaczynają pojawiać się gatunki jak sosna, świerk wreszcie dąb a w końcu przychodzą gatunki znoszące ocienienie jak buk i jodła. Taki sam proceder odbywał się w naszych pralasach, gdy przeszedł przez nie jakiś huragan wyłamujący większą partię lasu. Dlatego to charakterystyką pierwoborów jest różnorodność gatunków drzew. Nasze pierwobory wyglądały zupełnie inaczej, aniżeli lasy te, które obecnie mamy, resztki tych pierwoborów spotykamy jeszcze w Karpatach jak i na nizinach i niektóre partie zachowały jeszcze charakter lasów pierwotnych nie wyniszczone doszczętnie przez człowieka. Charakteryzuje je przede wszystkim rozmaitość gatunków drzew, nieforemne partie skupień gatunków lekkonasiennych drzew, które są przetknięte drzewami gatunków ciężkonasiennych, są to partie dawnych wiatrołomów, w których miejsce wstąpiły lekko nasienne drzewa, aby zachować ten teren dla boru, aby utrzymać glebę w należytej strukturze, aby dać możność przyjścia na nią gatunkom ciężkonasiennym, długowiecznym, widzimy tu jak gospodaruje natura, wali stare drzewa, aby w ich miejsce przyszły młode i aby wreszcie utrzymać na glebie porost boru. Przy tym wszystkim widzimy dbałość o glebę, utrzymanie jej stale w wilgotności i należy-

tej strukturze, korzenie zwalonych drzew pełnią tu rolę drenażu tej gleby, na której bór współżyje z mchami, porostami, grzybami, krzewami i runem leśnym i użyźnia tę glebę nie tylko dla siebie, ale też dla tego wszystkiego, co znajduje się na dnie lasu. To runo leśne utrzymywane w życiu na glebie zasobnej w składniki pokarmowe stanowi treściwą karmę zwierzyny, która te lasy zamieszkuje, karmę zawierającą wszystkie składniki potrzebne do należytego rozwoju organizmu zwierzęcia.

Wpływ tej zasobnej gleby uwidacznia się nie tylko na zwierzynie roślinożernej, ale też na mięsożernej, uwydatnia się to we wzroście osobników, rozwoju kośćca i rogów, w kolorze szaty zwierzęcia. Małe halawki i łączki położone na pochyłościach w takim borze są zawsze zasilane składnikami gleby leśnej wysokowartościowymi dla rosnących tam traw, które to składniki — znoszone są na te łączki przez spływającą wodę, — tutaj znowu intenzywne naświetlenie słoneczne, wilgoć doprowadzana z otaczającego boru, pobudza roślinność do intenzywniejszego wzrostu, to też na takich łąkach spotyka się karmę, za którą zwierzyna szuka.

W miejscach, gdzie przeszedł jakiś huragan, który obalił drzewa i udostępnione zostało przez to naświetlenie, pojawiają się też rośliny bardzo obfite w składniki pokarmowe, jeżeli połacie takich wyłomów są duże, tak że nasienie drzew nie zdoła w krótkim czasie obsiać całej powierzchni, gleba dziczeje, pokrywa się trawami ostrymi i mało wymagające gatunki drzew lekkonasiennych obsiewają się, aby znowu przygotować glebę do obsiewu lasem. Taki proceder i taką karmę zwierzyny możemy jeszcze zaobserwować w niektórych partiach Karpat w południowo-wschodniej części, tam, gdzie człowiek, ze względu na koszt wywozu drzewa i innych produktów leśnych, zaniechał ich pozyskiwania.

Tak gospodaruje przyroda sama, a teraz popatrzmy, jak wygląda gospodarka człowieka. — Ten wycinał najpierw las, aby uzyskać grunta orne, wydarł je z pod lasu o glebie zasobnej w składniki pokarmowe, póki miał z nich korzyść, użytkował, a gdy mu już nie dawały należytego plonu, zaniechał na nich użytkowania i pozostawiał je jako nieużytki, które na nizinach zamieniały się na lotne piaski a w górnych na szutrowiska. A kiedy drewna w lasach zaczęło mu już brakować i gdy ono nabrało pewnej wartości, robił człowiek na tych wyjałowionych miejscach plantacje lasu, lub też wycinając bór, zalesiał te miejsca drzewami o jednym gatunku i jednym wieku, takimi z których spodziewał się w przyszłości osiągnięcia największych korzyści.

Sadził zatem lub siał na wielkich przestrzeniach sosnę i świerka i zakładał plantacje drzew ale nie las, przy wyrębach karczował pnie, aby większą korzyść uzyskać.

Patrzmy teraz na tą glebę, co się z nią działo i co się stało z tą roślinnością, która współżyła z lasem, który istniał jako bór. Kiedy człowiek zamienił glebę leśną na grunt orny, to zniszczył ją zupełnie dla lasu, jeżeli zaś zrobił wyrąb zupełny na większej przestrzeni, odsłonił tą glebę ocieniowaną lasem, słońce i opady atmosferyczne wyjałowiły ją, i zanim nowy las, ta plantacja założona przez człowieka zakryła glebę, 50% pokarmów nagromadzonych w glebie przez poprzednio istniejący bór, poszło na marne, runo leśne zniszczało doszczętnie, wprawdzie w pierwszych paru latach po wyrębie pojawiły się trawy obfitujące w składniki pokarmowe, z których zwierzyna mogła korzystać, przyszły także maliny, które też mogą stanowić karmę, lecz i te zaczęły ginąć i poczęła pojawiać się mietlica lub wrzos i taki zrąb już nic nie dał zwierzynie, było to już właściwie pustkowie, które dopiero po dobrych kilkunastu latach zostało ocienione sadzonymi świerkami lub sosnami. Tworzył się jednolity i jednowiekowy drzewostan, który wreszcie zakrył doszczętnie całą glebę już wyjałowioną, drzewostan taki nie dopuszczał już światła, to też na dnie tego lasu na całej przestrzeni, znajdowała się tylko ściółka z igliwia i tam już zwierzyna nie znalazła karmy, najwyżej tylko schronienie.

Zdajmy sobie teraz z tego sprawę, że przy gospodarce zrębami czystymi, każda partia gleby musi przejść taką kolej. Widzimy, że całość gleby z czasem zostanie wyjałowioną, że wszędzie zostanie zniszczone to, co stanowiło karmę zwierzyny.

W latach powojennnych zaczęto silniej eksploatować lasy ze względu na dobrą konjunkturę drewna, odsłaniano większe powierzchnie zrębowe, powierzchnie te w pierwszych latach dały wiele karmy zwierzynie, lecz karma ta nie długo jej starczy, bo nastąpi okres wyjałowienia gleby i wreszcie plantacja człowieka zakryje odsłoniętą glebę.

Okres w którym ta karma jeszcze na zrębach się znajduje, to czas obecnych lat, i dlatego czytamy w sprawozdaniach łowieckich z Karpat, że ilościowy stan jeleni się poprawił. Jest to zupełnie wytłumaczonem, ale czy jakość wieńców jelenich pozostanie taka jak była poprzednio, czy zwierzostan się nie zdegeneruje z powodu degradacji gleby leśnej? Możemy być pewni, że wieńców już takich nie ujrzymy w Karpatach, jak w latach przedwojennych, pięknie uperlonych i o ciemnym kolorze, gdyż podstawa hodowli zwierzyny jest tam narzucona, obniżona jest wydatność gleby leśnej.

Widzimy z tego, że tak podstawą hodowli drzewostanów jak i hodowli zwierzostanu jest żyzna, nie wyjałowiona gleba leśna, dlatego który z hodowców marzy o pięknym zwierzostanie, niech najpierw dba o dobroć gleby leśnej a dojdzie do tego przez racjonalną gospodarkę leśną.

Gospodarstwo leśne, które zachowuje w najlepszym stanie glebę leśną, to gospodarstwo przerębowe, stosowane u nas tylko w drzewostanach bukowych i jodłowych i to tylko dlatego, że odnowienie tych drzewostanów w inny sposób jest nie możliwem. Ten najracjonalniejszy sposób gospodarowania w lesie, bo najwięcej zbliżony do tego, co czyni sama natura, możemy wprowadzić przy drzewostanach innych, jak sosna lub świerk, sposób gospodarowania przerębowo, daje nam poza utrzymaniem gleby w należytej żyzności zachowania runa leśnego, pewność tego, że używamy do obsiewu odpowiedniego nasienia, co ze względu na przyszłość drzewostanu ma bardzo doniosłe znaczenie.

Propagując gospodarkę przerębową w naszych lasach, może ktoś zarzucić, że gospodarstwo to, gdzie manipulacja zrębowa często powraca w to samo miejsce, niepokoi i płoszy zwierzynę. Jako gospodarz lasu przekonałem się nie jeden raz o tym, że zwierzyna zawsze dobrze zdaje

sobie sprawę z tego, co w lesie robimy, nie pojedynczy to wypadek, gdy kilku robotników obalało drzewa w zrębie a o 100 dosłownie sto kroków leżał prawie cały dzień gruby odyniec, którego zaszedłem schodząc już po południu ze zrębu przez gąszcz, gdzie on leżał. W zimie jelenie i sarny wprost czekają na chwilę, kiedy robotnicy zejdą ze zrębu, aby przeszukać zwalone stare jodły za przysmakiem jemiołą, a gdy już zaczynam osikę rąbać, robotnicy wchodzą w stada łań, rano przychodząc do pracy a wieczorem zwierzyna już nie czeka nawet na zejście ludzi, ale znajdując w odleglejszych miejscach od zajętych ludzi zwalone osiki, ogryza je, nie obawiając się zupełnie stukania siekier. Zwierzyna zna dobrze odgłosy zrębowe i wie dobrze, że niczym jej to nie grozi, usuwa się z miejsc, gdzie się rąbie, ale daleko nie idzie.

Nie ma dzisiaj czasopisma leśnego czy łowieckiego, któreby nie ogłaszało do kupna środków przeciwko ogryzaniu młodych drzew przez zwierzynę. Środków tych nie potrzebowalibyśmy używać, gdybyśmy szanowali glebę leśną, gdyby zwierzyna mogła znaleźć w innej roślinności pokarm zasobny w składniki potrzebne jej do życia i rozwoju.

Nieraz widzi się, jakie spustoszenie w młodniku czy kulturze może wyrządzić kilka sarn nawet tam, gdzie stan ilościowy zwierzyny jest mały, dowód to, że i ten mały stan zwierzyny nie jest w stanie znaleźć dla siebie należytego pokarmu i radzą niektórzy aby w tym wypadku ogryzania zastosować odstrzał, lecz ten wtedy pomoże, gdy wybijemy wszystko do nogi. O takich zabiegach wolę nie pisać, bo las bez zwierzyny, to człowiek bez duszy. Gospodaruję w rewirach, które kiedyś przed laty były gospodarowane przez dwu ludzi, rewiry te przylegają i ściśle graniczą ze sobą. Jakże charakterystyczne piętna wycisnęła na nich gospodarka tych dwu moich poprzedników, jeden z rewirów racjonalnie gospodarowany gospodarstwem przerębowem z zachowaniem typowych drzewostanów dla danego siedliska z glebą żyzną, nie wyjałowioną do dnia dzisiejszego, drugi rewir gospodarowany poprzednio przez innego człowieka, który wyciskał z lasu, ile mógł, rąbał wielkimi zrębami i w miejsce typowych drzewostanów jodłowo-bukowych z przymieszką olchy, sosny, lub świerka z pojedyńczymi jaworami, klonami i wiązami, wreszcie i brzozą — wprowadził czyste jednowiekowe sadzone plantacje lasu, które dzisiaj stanowią czyste drągowiny sosnowe bez podszytów, gdzieniegdzie jeszcze jakiś zapomniany przez eksploatatora świerk lub brzoza zdołała się obsiać wśród sosen, lub jakaś jedna jodła nie nadająca się do wyrębu zachowała w grupie swe potomstwo pod ochroną plantacji sosnowej — degradacja gleby tu się już wprost rzuca w oczy.

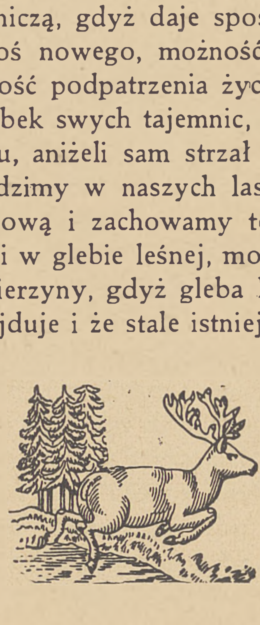
Jakże wygląda zwierzostan w tych dwu rewirach, to przecież jest ciekawym. Stan jeleni przystosowany do gleby i wyglądu lasu, łanie które więcej trzymają się jednego miejsca i łatwiejsze są do obserwacyj aniżeli byki, dorodne w partii lasu zagospodarowanej przerębowo, zaś na wieńcach byków różnica wielka, tutaj byki przeważnie silne o wieńcach ciemnych, zaś w partii sztucznie wprowadzonych sośnin łanie słabe o ubarwieniu jaśniejszym, byki o wieńcach cieńkich i bladych.

Szkody przez ogryzanie pędów są duże na granicy tych dwu rewirów a w partii rewiru sośnin nie może być mowy o jakimś założeniu kultury, zwierzyna zetnie wszystko doszczętnie. — Tłumaczenie zbyteczne, zwierzyna broni się przed degeneracją, szuka w pączkach drzew składników potrzebnych jej do rozwoju organizmu, gdyż pokarmów tych w innej paszy w tym rewirze nie otrzymuje.

Weźmy jeszcze pod uwagę taki młodnik wyprodukowany przez człowieka, taką plantację lasu jednakową i jednogatunkową, założoną po wyrębie czystym. Co z nim czynić, aby stał on się w przyszłości wartościowym lasem, aby zdegradowaną glebę mógł szybciej poprawić, aby wreszcie wytworzył runo leśne, z którego mogłaby zwierzyna korzystać? W młodniku takim zawsze spotkamy naleciałości jak brzozę, osikę, czasem pozostanie jakieś pojedyńcze drzewo jeszcze z poprzedniego zrębu, otóż nie tępmy tego doszczętnie, lecz pozostawmy je, pozostawmy w takim młodniku również wszelkie krzewy, to wszystko urozmaici, przerwie monotonię przyszłego drzewostanu, w drągowinach sosnowych na glebach nawet piaszczystych podsiewajmy buka lub graba, na lepszych glebach, jodłę, które to będą stanowić albo podszycie drzewostanu, lub wejdą kiedyś w skład tego drzewostanu jako grupa lub skupienie w innym gatunku, przy tym wszystkim patrzmy i obserwujmy, jakie drzewa znajdujemy na podobnych glebach w danej okolicy i w jakim pomieszaniu, w drzewostanach, które sama natura wytworzyła, a zawsze choćby strzęp takiego lasu znajdziemy, który nam posłuży za wzór. Pamiętajmy o tym, aby nie tworzyć szablonów, których nie tworzy natura i których nie lubi zwierzyna, starajmy się o to, aby lasy nasze były estetyczne, takie które by mogły naszym przyszłym pokoleniom dać możność podziwiania piękna natury.

Jednym słowem twórzmy knieję a nie szablonową plantację drzew, a knieja to las mieszany, różnowiekowy o charakterze pierwotnym z partiami starodrzewi i młodników nie ujętych w formy prostokątów czy form umiarowych, poprzerywany gdzie niegdzie łączkami i halawkami o typowym runie leśnym, charakterystycznym dla każdego skupienia drzew, starodrzewia z podszyciami lub nalotami, — o takiej kniei musi marzyć hodowca zwierzyny i myśliwy, która to w czasie jego łowów przyniesie mu widoki piękna natury na każdym kroku, knieja taka jest więcej tajemniczą, gdyż daje sposobność zobaczenia lada chwila czegoś nowego, możność zejścia zwierzyny z nienacka, możność podpatrzenia życia jej mieszkańców i taka odsłania rąbek swych tajemnic, a wszystko to daje więcej myśliwemu, aniżeli sam strzał do zwierzyny.

Jeżeli zaprowadzimy w naszych lasach racjonalną gospodarkę przerębową i zachowamy te skarby nagromadzone przez wieki w glebie leśnej, możemy być spokojni o stan naszej zwierzyny, gdyż gleba karmi to wszystko, co się na niej znajduje i że stale istniejący na niej las, pomnaża te skarby.



MIECZYSŁAW KORASIEWICZ

Z dawno przeżytych wrażeń myśliwskich

ROK POLOWANIA NA ODYŃCA.

Nawiązując do poprzednich moich opowiadań o spotkaniach z dzikami z dawnych lat, pragnę znowu opowieścią jednego z takich wspomnień podzielić się z czytelnikami-myśliwymi, a choć to historia z dalekiej przeszłości, bo z roku 1918, przecież ze względu na temat, nie uległa zupełnemu przedawnieniu i sądzę, że zainteresować potrafi.

Pewnego, pięknego dnia sierpniowego — przechodząc do lasu ścieżką wiodącą krańcem wsi — zatrzymałem się w pobliżu chaty, z której wyszedł znajomy chłop i zdążał śpiesznie ku mnie. Zrozumiałem, że ma coś ze mną do pomówienia. Niebawem stanął przede mną z miną wielce strapioną i zaczął wypowiadać swe żale na dziki, które pustoszą pola. Za chwilę, w koło mnie powstało zbiegowisko i nawet nie spostrzegłem się, kiedy zostałem osaczony całą gromadą krzykliwych bab, a w zgiełku nie mogłem wyrozumieć, o co im chodzi. — W tym otoczeniu stałem, jak wryty, czekając, aż się wygadają i w końcu uświadomiłem sobie, że cały ten hałas jest jedną, wielką skargą na dziki i zgłoszeniem pretensyj do odszkodowań. — Nasłuchawszy się różnych dość niemiłych epitetów, uspokoiłem wzburzone towarzystwo obietnicą rozpatrzenia sprawy i poszedłem na pola poszkodowanych. — Tam przekonałem się przede wszystkim, że szkody wyrządza tylko jeden, ale niepospolitej wielkości dzik. Zauważyłem bardzo wyraźne znamiona jego dewastacyjnej roboty. Były zagony pszenicy „gółki“ tudzież owsa, obsmykane z kłosów i przytłumione do ziemi, także zagony ziemniaków przeorane jego gwizdem od końca do końca, a na szlaku pochodu jego „pługa“ i doły, sięgające nawet pół metrowej głębokości, wyryte w poszukiwaniu za smaczną myszką, lub nornikiem, zdławionym przez smakosza, dla zaostrzenia apetytu. Poza tym stwierdziłem jego regularne występy nocne na danym obszarze pól i postanowiłem być mu towarzyszem nocnym, ale z pobudek zdradzieckich tj. zdobycia jego szabel. — Rozpocząłem uciążliwe, nocne podchody, w toku których okazało się, że niezbyt łatwo zejść go na strzał. Wyrafinowany słuch i nadzwyczajny węch starego imperatora zapewniały mu nietykalność i bezpieczeństwo życia. Toteż hulał sobie nadal, pławiąc się w zbożach pod ochroną nocy, zdobywając dla zaspokojenia swego pojemnego „maciusia“ najlepsze cząstki wśród pól uprawnych kosztem mozolnej pracy ubogiego rolnika, a ja za nim stąpałem tylko cichaczem ścieżkami przez niego wśród zbóż wytłumionymi. — Tak trawiąc noce, nie mogłem go podejść na strzał, gdyż na setki kroków mnie wietrzył i awizując dmuchaniem, rwał, jak bomba przez łany zbóż do najbliżej położonego lasu, skąd zazwyczaj, po zbadaniu sytuacji, nie tracąc wiele czasu, wysuwał się z przeciwległych zakątków na inne pola. Kokietowaliśmy się z dala przez liczne noce aż do czasu sprzętu zbóż, po którym przeniósł się na inny teren.

W październiku, gdy już bukiew dojrzała padać zaczęła z drzew, sprowadził się mój gość do partii starodrzewia bukowego i tam stale nocami żerował. — Tu miałem nieco odmiennego rodzaju atrakcję w przysłuchiwaniu się echom jego biesiady, gdy jak lokomotywa rozdmuchiwał liście i wybierał odwiane smaczne orzeszki, pożerając je z głośnym mlaskaniem. — Wszystko to obserwowałem i wysłuchiwałem z ukrycia za drzewem z odległości nie tylko nie dającej nocą w cienistym lesie możliwości dobrego strzału, ale nawet wyraźniejszego rozpoznania jego postaci. — W rezultacie tych moich wysłuchów dzik dobrze nakarmiony uchodził w niewidomym kierunku — a ja po stracie połowy nocy, tylko z przeświadczeniem, że uczciwie napasłem świnię, udręczony emocją wracałem do domu, jednak z pewnym uczuciem zadowolenia, że się ta uczta myśliwska jeszcze nie skończyła i rezerwa wrażeń dla duszy myśliwskiej jeszcze na noc następną została, nie mniej nadzieja zdobycia tych niepospolitych szabel.

Kiedyś, wracając późnym wieczorem z rewiru, po ukończeniu dziennych czynności służbowych, stanąłem pod bukiem obok ścieżki wydeptanej przez jego racice, gdzie obiecywałem sobie randkę z nim przy wschodzie księżyca. — Jak się okazało, niezły miałem gust, cóż kiedy djablik myśliwski, wyzyskując ciemność nocy, przygotował mi swego rodzaju niespodziankę, aby mnie utartym zwyczajem pozbawić pożądanego sukcesu.

Ciemność i cisza — na ziemi w koło mnie słyszę lekki szelest uwijających się po liściach za żerem myszy, lub plaśnięcie spadającej z drzewa bukwi. Las jakby we śnie pogrążony — pociągać i mnie zaczął w ramiona Morfeusza i przenosić w krainę sennych marzeń i urojeń. — Z tej półsennej zadumy wyrwał mnie w bezpośredniej za mną bliskości odgłos załamanej gałązki, co zwróciło mnie odruchowo w tył. Nigdy nie zapomnę tego fatalnego momentu. Drgnąłem tak silnie, że omal nie przewróciłem się, gdy bestia huknęła na mnie formalnie wydmuchaną ze siebie parą. Oczywista rzecz, że chwilowe zdenerwowanie omal nie wyrzuciło mi strzelby z ręki a w skutek czego nie wykorzystałem jedynego momentu przy jego odwrocie do szybkiego strzału. Odzyskanie równowagi było za późne, bo w ów czas, gdy dzik już pokazał tył, rozpuścił nogi do gwałtownego odwrotu i niebawem utonął w głębi rewiru, oddmuchując po drodze donośną fanfarę, którą łowiłem uchem przez dłuższą chwilę. — Okazało się że dzik podszedł mnie cichaczem jak kot, tak że jego zbliżenia się zupełnie nie słyszałem i gdyby nie trzask gałązki pod jego racicą, który spowodował mój ruch, byłby mi wjechał pod same nogi. — Dlaczego w ów czas nie dopisała mu jego wyrafinowana „tabakiera“, nie mogę sobie tego do dziś wytłumaczyć. — Księżyc zeszedł a w przebłyskach jego światła przesianego przez korony drzew uwidoczniła się moja ścieżka do wyjścia z otaczającego mnie ciemnością lasu. — Pomnę, jak w powrotnej drodze do domu ująłem zdrową myśl zaprzestania dalszych prób na nocnych podchodach, które mimo trudów i najlepszych kombinacyj dały mi tylko cały szereg niepowodzeń.

Z końcem listopada zaszumiały lasy ruszone porywistym, północnym wichrem, rzucającym pod stopy drzew odarte z koron resztki liści, ścieląc je na zielone kobierce mchów. Świat zaćmił się falami mgieł a w atmosferze dało się zaobserwować oblicze zimy. Mrozik kilkustopniowy ściągnął ziemię, kładąc trupem resztki zielonych ziół i jesiennych kwiatów, które jakoby żądne wieczystych rozko-

szy życia, do późnej pory zachowując żywotność, z przecenioną odpornością stanąć jak gdyby zamierzały do zwycięskiej walki z tym potężnym sprzymierzeńcem zimy. W procesie tych zmian klimatycznych, którym sekunduje majestatyczna cisza, spływać zaczęły z obłoków ku ziemi przeczytej białości płatki śniegu, tworząc piękną ponowę, tę białą kartę, na której tle wkrótce fauna zakreśli nieświadomie zdradę tajemnic swego istnienia i ostoi, dla celów myśliwskich tak pożądaną.

Nazajutrz po śnieżnym opadzie pogoda mroźna, słońce rzuciło swe snopy światła na drzewa fantastycznie otulone w złocistobiałe pancerze. Idąc drogą leśną, badałem z uwagą zaznaczone tu i ówdzie tropy zwierzyny i gdy tak zajęty do południa nie natrafiłem na grybszy ślad, zwróciłem się w stronę większego kompleksu młodnika szpilkowego. Tu spotkałem się z gajowym, który zaprowadził mnie na trop dużego odyńca, weszłego do tegoż młodnika. Zbadawszy odciski racic poznałem z miejsca, że to mój stary znajomy a po otropieniu przekonałem się, że tu obległ.

Ponieważ było dość późno popołudniu i nie było czasu na refleksje, udałem się śpiesznie na pobliski zrąb, z którego zabrałem gajowych i kilku robotników na pogonkę. Z tą naprędce zebraną drużyną rozpocząłem polowanie. Staję na tropie wchodnym, — nagonka wkrótce natyka się na barłog i dzika usiłuje wyprzeć, ale on nie głupi iść tam gdzie go pędzą, przesuwa się tylko z gąszczu do gąszczu, przystaje i dmucha zirytowany. W rezultacie nagonka wyszła na mnie w porządku, dzik zaś został w miocie. — „Zaczyna się stara historia“ — pomyślałem — „ale może przecież nie na długo“. Powtórzono gon po raz drugi, wreszcie i trzeci przy akompaniamencie ślepych strzałów, lecz i to nie skłoniło go do wyjścia a raczej spotęgowało jego upór. Zapadł wieczór i nie pozostało mi nic innego, jak dać upartej świni „za wygrane“. — Następnego dnia skonstatowałem nocny wychód dzika, jakby na urągowisko przez moją wczorajszą stójkę, do sąsiedniego rewiru, z kąd już więcej tej zimy nie wrócił. — Prawdopodobnie ta ślepa strzelanina w miocie tak go usposobiła i długo ją musiał pamiętać, skoro aż w sierpniu następnego roku zjawił się samotny i rozpoczął tu na nowo swoje gościnne występy w dojrzałych owsach i ziemniakach na polach włościan. Stosowane przez posiadaczy gruntów środki odstraszające, jak trąbienie, bębnienie na blaszankach, palenie ogni nocnych wygnały go na przeciwległą stronę lasu, pod którym rozprzestrzeniał się długi łan dworskiego owsa i ten obrał jako stały teren swego żerowiska. — Okoliczność tę wyzyskałem na podjęcie nowych podchodów.

Pewnej nocy wysłuchałem go, żerującego w rzeczonym owsie i w ów czas udało mi się go podejść. Księżyc był za chmurami, to też oświetlenie miałem bardzo niepomyślne, tym więcej, że dzik żerował tuż pod lasem, rzucającym cień na pole. Zeszedłem go z pola pod wiatr, na odległość około 60 kroków i przy wytężeniu wzroku dostrzegłem niewyraźną, wydłużoną jego sylwetę. Waham się chwilę, gdyż strzał niepewny, ale niema czasu do namysłu, gdyż dzik przestał żerować i namyśla się, w którą stronę zwiać. Wówczas opanowała mnie silna emocja, mimo tej jednak złożyłem się, szukając fosforyzującą muszką mniej-więcej przodu (komory) i strzeliłem. Po odłożeniu sztucera niczego nie widzę, natomiast słyszę coraz wyraźniejszy, zbliżający się ku mnie szum tratowanego owsa. Nie zdołałem jeszcze wprowadzić świeżego naboju do komory sztucera, gdy w odległości najwyżej 15 kroków zaczerniał się przede mną łeb odyńca, pełzającego w połamanych podskokach wprost ku mnie. — Groźna sytuacja kazała mi w ucieczce szukać ratunku, to też strach spotęgował chyżość mych nóg i jak rączy zajączek, rwałem przez owies, by znaleść się na skraju lasu, pod rozgałęzionym grabczakiem, gotowy do obrony, lub ewentualnego wymyku na gałąź. Dzik tymczasem, czując się prawdopodobnie mniej zdolnym do tej szarży na dalszą metę, zwrócił w bok, w najbliżej położoną stronę lasu i tam „wjechał“ w głęboki parów, dnem którego sączył się wąski strumyk.

Na odgłos danego do dzika strzału, zjawili się dwaj gajowi, pilnujący opodal swoich ziemniaków. Zbliżyliśmy się do rzeczonego potoka, w którym słychać było ciężkie sapanie i gruchotanie czegoś zębami. Dzika nie dostrzegłem, bo go kryła zupełna ciemność na dnie głębokiego parowu, zarośniętego chwastami. Jeden z gajowych błysnął zapalniczką a dzik zoczywszy światło rzucił się z rechtaniem w stronę brzegu, ku nam, powtarzając ten manewr za każdym błyśnięciem zapalniczki, widocznie jednak ataki te z braku sił zawodziły, gdyż zsuwał się ze ścian parowu bezwładnie w dół a tylko nas niepotrzebnie denerwował w ciemności i skłaniał do kilkukrotnej kapitulacji. Gdy wszelkie próby zoczenia go i dobicia zawiodły, postanowiłem dać mu spokój aż do rana. Z brzaskiem dnia wyszedłem z domu na miejsce sytuacji. Wielce zaciekawiony, przy zachowaniu pewnej ostrożności, zbliżam się nad brzeg parowu, gdzie dostrzegam bezwładnie siedzącego na zadzie olbrzyma z kulą umieszczoną nad łopatką tuż pod kręgosłupem. W koło niego leżały, powycinane jego zębami, jesionki i krzewy, pod których osłoną, jak gdyby się chciał ukryć przed dalszym prześladowaniem. Skróciłem mu czem prędzej męki kulą za ucho, po czym mogłem go już z bliska oglądnąć.

Na zamroczonym mgłą horyzoncie zaokrągliła się ponsowo-świetlna tarcza wschodzącego słońca i wkrótce jej promienie przedzierżgły rosą skroplone oblicze ziemi. Dzień wstał piękny, las ożył gwarą uskrzydlonej dziatwy. Stałem w zadumie, z uczuciem jakiegoś żalu — wpatrzony w leżące na dnie parowu cielsko olbrzyma, unieruchomione na zawsze — ofiarę ludzkiego podstępu i przemożnej pożądliwości myśliwskiej. Szmer i plusk strumyka po kamykach, jakby motywy smętne czarownej symfonii żegnały na zawsze tego niepospolitego mieszkańca borów. Poza refleksją tych fantastycznych rozmyślań nie mogłem mu nic więcej poświęcić na pożegnanie. Zostały jednak w pamięci niezatarte wrażenia, które dały mi temat do niniejszego opowiadania.

Odyniec mierzył od gwizda do nasady ogona 2 m 4 cm, wysokość w przodzie 97 cm — był bardzo sadlisty. Z niedostępnego wąwozu trudno było go w całości wydobyć, to też zdjęcie skóry i rozebranie go na części nastąpiło na miejscu a następnie wyniesienie częściami na wóz, ale i tych było co dźwigać, biorąc pod uwagę ciężar jednej, tylnej szynki ważącej 23 kg. Okazałe szable jego zachowały się wśród moich trofeów, tudzież przynależne do nich fajki.

STANISŁAW KRASICKI

Łowiectwo w Iranie

(Ciąg dalszy).

Ułożyliśmy się pokotem, jeden koło drugiego, owinięci w futra, gdyż temperatura nocy odbiega mocno od dnio-wej, spadając do zera i niżej. Zasypiałem, mając przed sobą skrawek jasno ugwieżdżonego nieba, na którym rysowały się kontury potężnych, w dziwaczny sposób poszarpanych gór, oraz smukłe, przy końcu lekko rozstrzelone z wiecz-nie trzęsącym się liściem topole. Ten krajobraz tak dla mnie fantastyczny, spotęgowany grzmocącym pod nami strumieniem, sprawiał wrażenie jakiejś teatralnej dekora-cji, jakiejś dotychczas nie napisanej sztuki, w której czło-wiek odgrywa rolę podrzędną, w której autor chce na pierwszy plan wyciągnąć jedynie piękno przyrody. Stało się tak, że danym mi było podziwiać prawie do rana ten cud. Robactwo nie gryzło mnie, ale poprostu obgry-zało moje kości. Najprzykrzejsze w tym wszystkim było to, że nie mogłem i nie stwierdziłem, jaki to rodzaj insek-tów był tak polakożerczym.

Gdzieś o drugiej w nocy, mając już dosyć tego ciąg-łego drapania, wyszedłem przed chałupę do naszego go-spodarza, który dmuchając w samowar, przyrządzał her-batę. Napiłem się parę kubków, pobudziłem śpiących i jazda samochodem jeszcze z 30 km. Stamtąd poszliśmy wzdłuż strumyka w góry na te niby ibexy i muflony. Nie wiedziałem, że myśliwy irański przedkłada nadewszystko ptaszki. Dla niego „Hochwildem" jest pióro. Pomimo te-go, że strzela bardzo dobrze, kombinuje zawsze, by pierw-szy strzał dać do infanterzystów i to najbardziej skupio-nych a dopiero po tym w locie. Na moje nieszczęście po drodze spotkaliśmy liczne stada kuropatw. Całe towarzy-stwo rozpierzchło się po górach i to po jakich i waliło w te kuropatwy, które dla mnie nie przedstawiały żadnej war-tości a przeciwnie znienawidzony objekt, uniemożliwia-jący mi nawet zobaczenie stada ibexów, względnie muf-lonów. Siedziałem wściekły z sztucerem w ręku i żułem przekleństwa. Gdzieś popołudniu zjawiło się całe towa-rzystwo zlepione potem, rozentuzjazmowane z pękami kuropatw i jednym zającem. Nie mogli się nadziwić, że nie podzielam ich entuzjazmu i że nie poszedłem deptać kuropatw po tych górach. Jedyną osłodą tego dnia był doskonały melon. Powoli zacząłem się inaczej na tę rzecz patrzeć i zacząłem namawiać na ibexy. Zarekwirowaliśmy muły i szybkim marszem po djabelnych przepaściach wy-drapaliśmy się w rejony zamieszkałe przez ibexy w chwili, kiedy nie można było nic widzieć tylko ciemności. Wra-caliśmy po omacku oddani na instynkt mułów i osłów, (ja jechałem na ośle), wszystko to szczepione łańcuchami, by w razie upadku w przepaść pociągnąć resztę, względ-nie żeby reszta przytrzymała leżącego. Tak jak nigdy nie namawiam do powrotu z polowania, lecz przeciwnie naj-głośniej krzyczę, by dalej polować, w tym wypadku namó-wiłem towarzystwo do powrotu. Po drodze dowiedziałem się o ciekawym sposobie łapania kuropatw, stosowanym nie tylko przez górali ale i też przez myśliwych. Mia-nowicie rozpościera się na patyczkach płachtę upstrzoną różnymi gałgankami kolorowymi. Za tą zasłoną można dojść do stada kuropatw na krok. Wtedy góral laską pierze w stado i zbiera kilkanaście sztuk zbarczonych, z obłamanymi łapkami do torby. Myśliwy robi to samo, jednak nie zbliża się tak blizko i strzela do biednej kupki kuropatw z przekrzywionymi główkami na wyciągniętych szyjkach, zaciekawionymi pstrokacizną wśród tej szarej monotonii gór. Obrzydliwe.

Zorientowawszy się w sytuacji, począłem szukać towa-rzystwa myśliwych. Zostałem przedstawiony wielokrotnie tu cytowanemu Dr. Stumpowi. Należy się bezwzględnie wzmianka o nim i jego tak charakterystycznej postaci.

Przyjechał przed trzydziestu laty do Iranu. Przyjechał odwiedzić swego znajomego. Jak przyjechał i zapolował, więcej nie wrócił do Europy. Wskutek tego, że mając sam poważne kapitały i stosunki na dworze poprzedniej dynastii Szachów (wyratował Szacha dwukrotnie od śmierci, hemofilia), zrobił się milionerem, o ile nie miliar-derem. Kodeks irański nie przewiduje możliwości posia-dania przez obcokrajowców żadnych nieruchomości w Ira-nie. Ten zakaz został przez Dr Stumpa zgwałcony w każ-dym zagięciu paragrafu. Pewnego pięknego dnia oświad-czono mu, że musi w terminie 6-miesięcznym sprzedać pół Teheranu i swe fabryki. Nie sprzedał, ale przyjął oby-watelstwo Iranu. Jego dziad, jako Szkot, przeniósł się do Szwajcarii, jest spokrewniony z baronami kurlandzkimi i w Kłajpedzie ma kamienice. On sam jest teraz irańczy-kiem a dzieci z żoną Szwajcarami. Wysoki, wysportowa-ny, z doskonałą twarzą, ma podobno dobrze ponad 60 lat, robi wrażenie czterdziestoletniego. Nie widziałem ni-kogo oprócz śp. pułk. Czek-Adamowicza, któ by tak pięk-nie siedział i tak dobrze jeździł konno jak Dr. Stump. Sił niespożytych, może pić, może grać w karty nocami ca-łymi a po tym w dzień polować, drapać się po tych gó-rach, jeździć konno milami i na nowo nie spać i na nowo polować. Uroku niepospolitego, groźny zawadiaka, jak się uniesie. Przejechał cały świat i przepolował go. Raz jadącego na polowanie, jeszcze wtedy, kiedy wyprawy organizowało się na grzbietach mułów i garbach wiel-błądzich, z trudem zawrócono go do konającego Szacha krwawiącego z gardła.

Niestety poznałem go przed mym wyjazdem i dwa razy tylko polowałem z nim. Wybraliśmy się pewnego pięk-nego dnia — innych tam nie ma — samochodem w czwór-kę, to znaczy Dr Stump, 2 jego siostrzeńców, inżynierów zatrudnionych przy budowie kolei i ja. Jechaliśmy drogą złą, względnie drogami złymi polnymi, że się tak wy-rażę. Jechaliśmy przez krainę równą, gołą, szarą, poprze-rzynaną całym systemem wałów, rowów, zapór służących do nawadniania zawsze tu za suchej ziemi, nie znającej deszczu. Po tych rozległych łanach zamkniętych widno-kręgiem dalekich gór, pasły s'ę całe stada wielbłądów. Utrzymanie wielbłąda nic nie kosztuje, w nocy przecho-dzi z ciężarem swym kołysającym chodem do trzydziestu kilometrów, w dzień wypasa tę gołą ziemię, zrywając ostatki ubogiej roślinności. Jeżeli zachoruje, lub jest za stary, zdejmuje się z niego towary, zostawia leżącego na ziemi. Liczne kości bielejące się na drodze lub przy dro-dze świadczą o dobrej policji sanitarnej tego kraju, spra-wowanej przez czworonogi i ptaki. Przejeżdżałem raz koło

wielbłąda jeszcze żywego, gdy na drugi dzień wracałem, leżał szkielet spreparowany, jak w gabinecie anatomii.

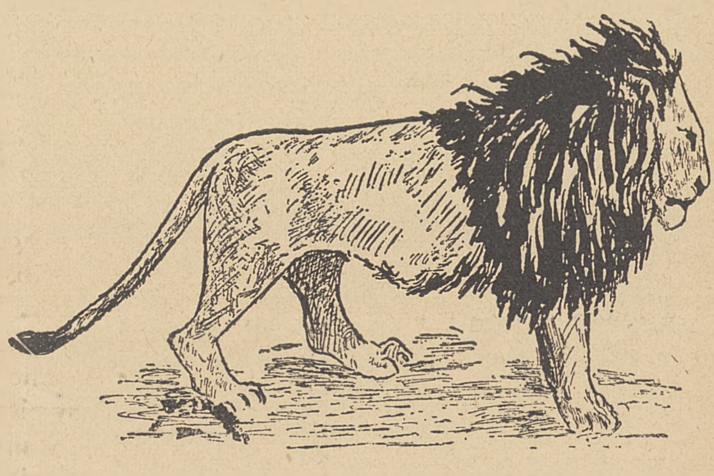
Z rzadka mijaliśmy wsie, wyglądem swym, zupełnie odmienne od górskich. Wieś na dołach to wysoki mur ulepiony z gliny — z poza którego widać gromadę półkolistych kopuł ostrzej jakby sutką zakończonych — robiących z daleka wrażenie jakichś gigantycznych piersi kobiecych w słońcu się opalających. Nie miałem sposobności wedrzeć się poza ten mur i zbadać wnętrza i budowę tych domów. Mury obciągnięte wokół tych kopulastych zabudowań mają przeszkadzać stadom baranów i kóz w zbyt swobodnym poruszaniu się w nocy.

Zrobiwszy jakichś 150 km, zatrzymaliśmy się w okolicy, jak na tutejsze warunki, dziwnie zielonej. Zatrzymaliśmy się w szerokiej dolinie otoczonej ze wszech stron nagiemi górami nie wyższymi jak 200 m, środkiem doliny płynął potok zamieniający się od czasu do czasu w rozległe moczary obrośnięte szuwarem i trzciną. Naokół tego mokradła pasły się wielbłądy, osły, muły, krowy i byki. Dalej w suchszych regionach bieliły się łany jakby naszej hreczki — pola bawełny.

Wysiadamy z samochodu. Oprócz Dr Stumpa, który będzie z konia dzidą kłuł dziki, każdy bierze dla siebie broń. Chcą mnie dać dubeltówkę z chevrotine'ą, ja się upieram przy Schoenauerze, który otrzymuję. Uwagę mą koncentruję na nie wysoko szybującym dużym orle, który siada na pobliskiej skale w odległości 200 kroków. Proponują mi strzał, kładę się na ziemię, innego oparcia w tym kraju nie ma, strzelam i fontanna piasku i piargów wyrwana z pod orła jest jedynym efektem mego pierwszego strzału danego na ziemi irańskiej. Po tym strzale sznuwary aż zatętniły poderwanymi stadami kaczek a powietrze napełniło się świstem prujących go lotek. Tłumaczono mnie, że dziki tam właśnie w tych szuwarach leżą i to nie jakieś małe przelatki czy warchlaki albo wycinki, ale matuzalemy czarnego zwierza z siwiejącym wąsem białych kłów, z czarną jak sadza chyrą. Przyjmowałem te wiadomości bez entuzjazmu, byłem zanadto rozczarowany pierwszym polowaniem, by wierzyć, że tu w tym bagnie może leżeć to, co my myśliwi małopolscy najwyżej cenimy. W ciągu dalszym mówią mnie, że lochy z młodzieżą w grupach liczących ponad sto sztuk przez dzień siedzą w otaczających nas górach, na noc wychodzą na pola bawełniane, buraków cukrowych, winnice, robiąc przeraźliwe spustoszenia a nad ranem wycofując się znowu w góry. Odyńce, starsi panowie, dufni w swą moc i siłę, zażywają przez dzień kąpieli błotnej i chłodnej w moczarach. Jest mi już wszystko obojętne, przygotowany jestem na najgorsze, biorę Manlichera i z dwoma Szwajcarami idziemy na przeciwległy bok moczaru. Mamy przejść ławą te szuwary w kierunku na Dr Stumpa, który dosiadł swego araba przecudnej piękności, godnego pędzla Kossaka.

Idziemy we trójkę a przed nami na wysokiej kulbace, z strzemionami tak szerokimi, że stopy nie widać jedzie schikarczi, który ma w wypadku wymknięcia się stadka, zajeżdżać drogę i nawracać. Trochę nie poważnie wyglądało to zachodzenie na stanowisko. Zamiast ośnieżonego lasu, z jodełkami przygniecionymi ku ziemi, zielone oczerety, zamiast sakramentalnej ciszy przy zachodzeniu miotu z otropionym czarnym zwierzem, głośne rozmowy, ryk pasących się wielbłądów, histeryczny jazgot jurnego osła doskakującego oślicy. Co chwila porywające się z pod nóg kszyki i dubelty, szum podrywających się kaczek były jakąś operetką mych pojęć o polowaniu na odyńce. Przeszliśmy to bagno, ustawiliśmy się jeden od drugiego na jakichś 20 kroków i wgłębiamy się w ten gąszczasty oczeret. Po paru krokach jestem po kolana w grząskim, bulgocącym od smrodu bagnie. Trzymam sztucer w pogotowiu, choć nie chce mi się wierzyć, żeby mogły być tu dziki. Dochodzimy już prawie do końca, nie jestem dalej od mego sąsiada niż na kroków 10 i słyszę odgłos uciekającego czegoś po bagnie. Równocześnie prawie huk strzału, po tym znowu gwałtowne chlupotanie i widzę jak mój Szwajcar z drugiej lufy grzmi pod swoje nogi. Pytam się do czego strzelił? Odpowiedź: do dzika. Duży? Bardzo duży. Przyznam się, że nie spieszyłem się zbytnio, by podejść do tego „dużego" dzika. W mym wyobrażeniu to jakieś prawdopodobnie wypierzone małe świństwo, utytlane błotem.

C. d. n.



H. STUART TEGNER

Podjazd rogaczy w Polsce

Oboje, moja żona i ja, mamy szczególne zamiłowanie do podchodzenia rogaczy w Anglii i Szkocji. Dlatego też sposobność wycieczki do Polski przywitaliśmy z niekłamaną radością.

Hr. Adam Starzeński uprzejmie zapoznał nas z Hr. Stanisławem Korzbok Łąckim z Posadowa. Ponieważ w Wielkopolsce rogacze chronione są w czasie od 15 lipca do 15 sierpnia, mogliśmy udać się tam dopiero w połowie sierpnia.

Zważywszy, że różnica ceny biletu kolejowego drugiej klasy na kontynencie jest niewielka w porównaniu z ceną przejazdu aeroplanem, zdecydowaliśmy się na lot. Z Croydon wylecieliśmy 7 rano sobota 15 sierpnia a zatrzymując się w Rotterdamie i Berlinie dla nabrania benzyny, byliśmy w Poznaniu o 4.06 popołudniu — wygodna i szybka podróż.

Na podjazd wyjechaliśmy dopiero w poniedziałek. Pierwsza rzecz, która uderzyła nas w Polsece, jest olbrzymia ilość spotykanych sarn w ciągu jednego podjazdu. Nigdzie w Anglii lub Szkocji nie można nawet w przybliże-

niu ujrzeć tak wielkiej naraz ilości sarn. Niestety na Brytyjskich Wyspach sarny są strzelane bez najmniejszego wyboru. Uważane są tam, całkiem niesłusznie, jako nad wyraz szkodliwe dla ziemiopłodów. Nie mają one żadnej ochrony ze strony Ustawy Łowieckiej i wszyscy, tak dzierżawcy folwarków jak i strażnicy łowieccy, a także i wielu myśliwych strzelają je ze śrutówek. Nie robi się różnicy między rogaczem, sarną czy młodzieżą.

Jednakowoż niektórzy właściciele wielkich obszarów ustanowili rodzaj ochrony na swoich terenach, kierowani sentymentem czy też zmysłem myśliwskim. I w tych miejscowościach są w Anglii najpiękniejsze podchody.

Na Brytyjskich Wyspach tylko pieszo poluje się na sarny i tylko podchód jest znany i używany — a podchodzi się lasami poprzerywanymi polanami w nadziei spotkania dobrego rogacza pasącego się na czystem. Gdy się lornetką wypatrzyło rogacza, strzelec stara się podejść jak najbliżej, gdyż sposób angielskiego polowania polega na zbliżeniu się możliwie największem i niedalekim strzale.

Stosownie do odmiennych okoliczności istniejących w każdym kraju, jest to więc prawie niemożliwe porównać angielski sposób polowania z polskim. W Polsce na podjeździe trudność polega na dalekim strzale, podczas gdy w Anglii na podchodzie ta trudność nie istnieje. Według naszego doświadczenia sposób polowania w Polsce, posługując się pojazdem, jest bardzo trudny, ale sądzę, że dla cudzoziemca, któryby do nas zajechał, przystosowanie się do naszego sposobu podchodzenia również nie byłoby łatwem.

Niema najmniejszej wątpliwości, że my w naszym kraju możemy wiele nauczyć się od Polski, jak chronić sarny. Dla mnie ciekawem było usłyszeć zdanie wielu myśliwych, z którymi rozmawiałem, że sarny nie są tu uważane jako specjalnie wielkie szkodniki w ziemiopłodach. To mniemanie rozpowszechniają także niektórzy nasi myśliwi w Anglii w nadziei uzyskania większej ochrony dla sarn, aniżeli to dotychczas ma miejsce.

Oprócz wielkiej ilości sarn, zadziwiający był dla nas widok napotykanych co krok licznych stad kuropatw a także i widok dropi znajdujących się na polach Posadowa.

Nie mogę pominąć milczeniem przyjęcia gościnnego, jakiego doznaliśmy od Hrabiego i Hrabiny Korzbok Łąckich. Tę naszą wizytę zachowamy zawsze w najmilszej pamięci.

A teraz konkluzja. Jestem przekonany, że gdyby Polska więcej reklamowała swoje możliwości myśliwskie, znaczna ilość Anglików zjeżdżałaby do Polski na łowy. Zwłaszcza, gdy się zważy, jak łatwo jest obecnie drogą powietrzną dostać się do Polski z Londynu.

For Gallowgate, Newcastle upon Tyne.



JAROSŁAW HUBALEK

Cygan „Mykita“

(Ciąg dalszy).

Dolina Czeremoszu, którą biegnie jedyna w tej stronie, przez Boga i ludzi zapomniana droga, odżyła niespodziewanie pierwszego dnia zimowego. Zjawiły się na niej chłopskie sanie, a na nich zwłoki starej, steranej szkapiny. Snać gospodarz poskąpił na nowe podkowy, biedactwo złamało nogę i gajowy ją zastrzelił.

Nie męczył się chudzina. Nabój grubego śrutu zmiótł mu pół czaszki, padł więc, nie wiedząc nawet o tem. Gazda wymówił sobie skórę, o resztę nie dbał. Kazał zatem gajowy zawieźć trupa do lasu, zrzucić go w wyrwę, wymytą przez wodę, potem otworzył jamę brzuszną dla łatwiejszego ujścia gazów — i sprawa skończona. Leży tu sobie szkapina już trzeci dzień i odpoczywa po ciężkiej drodze życia, na której prócz ścierni nic nie leżało.

Pierwsze zwiedziały się o nowinie, leśne plotkarki — sojki, i rozskrzeczały ją po całym lesie.

Zbudził się, drzemiący pod starą kłodą, zając, nastawił słuchy i myślał. Na ucieczkę dość czasu — zresztą prócz sójek, nic więcej nie słychać; wtulił się w ciepłą kotlinkę i z powrotem zamknął oczy.

Sikorki, całą gromadką rewidujące pień za pniem, cichną na chwilę i bystre pacioreczki swych ocząt kierują w stronę skąd dochodzi sojcze larum. Dojrzały coś ciekawego, lecz nie lecą jeszcze; naprzód praca, potem zabawa!

Na zboczu, słońcem wygrzanym, odpoczywają trzy sarny — rodzina. Tęgi ojciec, z nabrzmiałymi już pąkami, skoczył naprzód i wietrzy. Ostrożność nie zawadzi. Ma jeszcze w pamięci tę chwilę (ostatniego lata to było), gdy niewielka gałązka zmieniła kierunek kuli, co ocaliło mu życie. Więc słucha i wietrzy uważnie. Matka, wpatrzona w niego, czeka na hasło, każdej sekundy gotowa do ucieczki. Tylko głupiutkie jagnię spokojnie ogryza cienkie pędy, nie wiedząc snać jeszcze, że ostrożność jest matką mądrości.

Sojek tym czasem zleciało się już pięć. Podczas, gdy trzy krzyczą wytrwale, odważniejsze dwie usiadły na trupie. Jedna siedzi na żebrach i ostrym dziobkiem próbuje urwać kawałek mięsa. Reszta podnosi wrzask piekielny — z zazdrości — i idzie za przykładem pierwszych. Na gałęzi pozostaje jedna tylko na straży. Po chwili i ona zaczyna pracować dziobkiem, aż wreszcie całe towarzystwo, syte i zadowolone, rozlatuje się po lesie.

Nie długo trwa cisza. Ze świergotem i pogwizdem podlatują sikorki. Ostrożne ptaszyny! Niby nie widząc konia, przenoszą się z drzewa na drzewo, pilnie opatrując najmniejsze szpary i rysy w korze, aż na komendę, wszystkie naraz obsiadają trupa. Pracują z błyskawiczną szybkością, ostre jak igła dziobki są w ustawicznym ruchu, a co tam gwaru, przekomarzań, dziecinnej pustoty, co radości i obfitego żeru!

Słońce zachodzi. Za górami nikną krwawe blaski. Mróz na noc bierze tęgi, przez dzień trochę odtajały śnieg pokrywa się jakby szklaną skorupą. Powoli pada mrok, na białym śniegu zamiast konturów, kląść się zaczynają

ciemne plamy. A mróz bierze... Na niebie świecą jasno gwiazdy i blady, zimny, sierp księżyca.

Od potoka, z doliny, rozchodzi się tęskne kwilenie sowy, odpowiada mu inne z pobliskich ruin zamkowych. Między konarami wałęsa się lelek ze swym cmentarnym kuiiiik-kuiiiik...

Leciuchny wiaterek pociąga chwilami w dolinę. Na pierwszy jego powiew drgnął nasz Cygan i wyciągnął się jak struna. Najwyraźniej pieczeń, rozkoszny zapach krwi, mięsa, aż skurcz pożądania przeszył wnętrzności! Stoi i wietrzy. Kliniasta mordka wyciąga się jak szydło, nastawione uszy łowią najmniejszy szelest. Nozdrza drgają nerwowo. Analizują starannie każdy atom, wiejący w dolinę, azali niema tam woni człowieka lub żelaza? Nie ma — więc bez namysłu daje Cygan parę sążnistych skoków i ginie w gąszczu.

Czyżby się zląkł? Bo wszak lis nie jest naiwny i wie, że zapach końskiej krwi w lesie jest czemś tak niebywałem, że musi budzić podejrzenie. Taką rzecz trzeba zbadać dokładnie, nabrać wiatru i z drugiej strony, skądinąd wysłuchać wszystkich szelestów, okiem zewsząd ogarnąć sytuację. Niedaleko by zaszedł, idąc ślepo na lep każdego miłego zapachu! Drogo opłaca się każde nabyte doświadczenie, a Cygan, choć młody, przestał już być niedoświadczonym młodzikiem. Bieda go uczyła, a niebezpieczeństwo było stałym przewodnikiem na krótkiej wprawdzie — drodze życia. Wie o tem, że jego wspaniały kożuszek lisa-węglarza jest nie tylko przedmiotem zazdrości braci-lisów, lecz, co gorsza, marzeniem niejednego myśliwego. Takiego kożuszka Cygan tanio nie sprzeda!

Krok po kroku, wszystkimi zmysłami bada okolicę. W cieniu drzewa potrafi stać długie minuty z zatajonym oddechem. Po co się spieszyć? Odległość wieczerzy określa na jakieś dwieście kroków, więc zdąży jeszcze przetrząsnąć wszystkie zarośla, obejść dokoła każdą zwaloną kłodę, podsłuchać szelestu najmniejszej gałązki. Co chwila się oblizuje dla zaostrzenia powonienia, lecz nie czuje już woni mięsa — stoi w półwietrze, już nie dalej, nad sto kroków, na białym śniegu bowiem wyraźnie widzi ciemną plamę konia. Powietrze czyste, nigdzie nic podejrzanego, więc ze spuszczoną kitą, niczem warkoczem komety, pełznie ostrożnie coraz bliżej.

Gdy zniknął na chwilę za grubą kłodą, po drugiej stronie końskiego trupa oderwał się od starego pnia jakiś szary cień z krótkim, czarnocentkowanym, jakby uciętym ogonem. To dziki kot, z resztką, może szesnastą częścią krwi domowego kota, również skrada się do przynęty. Nie posiada węchu lisa, dlatego się nie kieruje nosem; liczy tylko na wzrok i słuch, a te mu mówią, że niema się czego obawiać. Spowszedniały mu rude myszy, ani jarząbek już nie smakuje — trzeba pomyśleć o zmianie kuchni. Bystrym wzrokiem dokładnie widzi kontury konia, więc skrada się cicho jak duch, przystaje, słucha. Cisza... Gdzieś daleko pisnął ptak... Może przez sen... Słucha dalej... Nie — to złudzenie. Czołga się — niemal brzuchem po śniegu, z wąsem zjeżonym, z dziką namiętnością w zielonych oczach.

Już jest u celu. Jeszcze siada i jeszcze czeka. Diabeł nie śpi — ileż to leśnego zwierza straciło życie tylko przez zbytnie dowierzanie pozornej ciszy! Żołądek jednak radził inaczej — i źle radził, bo wogóle żołądek nie powinien radzić, a tylko trawić.

Poszedł za jego głosem żbik, urwał parę kawałków na próbę, wkońcu usiadł na boku końskim, mrucząc z zadowolenia.

Nagle z tyłu mignęło jakieś długie cielsko i wagą swych sześciu kilogramów spadło na zgarbiony grzbiet żbika. Błyskawiczny atak spotkał się z błyskawiczną obroną. Jak myśl szybkie, wpiły się pazury w ciało napastnika, lecz Cygan nie puścił ofiary. Z wrodzoną nienawiścią, do kociego rodu pogrążył ostre kły w gardle wroga i trzymał wytrwale. Nie dłużej nad minutę trwał zapas. Kurczowo wyprężony ogon żbika począł się chwiać, wolniały napięte mięśnie, puściła jedna łapa, za nią druga, aż wreszcie zwisła głowa i zielone oczy zaszły mgłą.

Tak się skończył pierwszy bój Cygana z odwiecznym wrogiem wszego pogłowia psiego. Po obfitej wieczerzy — zwycięzca wziął w mordę martwego żbika i z miną tryumfatora uniósł go w gęstwinę kniei.

VIII. GŁOS KRWI.

Styczeń miał się ku końcowi. Kraina cała srebrzyła się świeżo spadłym śniegiem, pola — przy księżycowym blasku — błyszczały jak zwierciadło. Mróz panował srogi. Pnie drzewne, odgrzane południowym słońcem, w nocy pękały z hukiem pistoletowego strzału.

Cisza panuje w całej naturze, przerwana na chwilę dzwonkami, wracających z miasta, huculskich sanek.

Dźwięk dzwonków, chociaż wyjątkowo nieźle sharmonizowanych, dziwnie drażniąco działa dziś na Cygana. W ogóle od paru dni nasz bohater jest nieswój, przeczulony; wszystko go drażni, denerwuje aż do poczucia fizycznego bolu. Na domiar swego szczęścia, czy nieszczęścia, z wieczora wpadł przypadkiem na trop liszki o tak miłym, wabnym zapachu, jakiego nie poczuł jeszcze nigdy dotąd. Oszołomiony tą wonią, długo stał na miejscu, zapomniał o głodzie, nie zwrócił uwagi na szaraka, choć jednym skokiem mógł go dostać. I znów ssał ponętny wypar, budzący w jego duszy nieznane, błogie uczucia. Stał, jak z kamienia wykuty, z wysoko podniesioną, wspaniałą kitą, każdym nerwem, każdym fibrem pragnąc tej krasawicy, która tędy niedawno przechodziła. Nadbiegnąć bokiem, czy trzymać się tropu? Po krótkim namyśle uznał to ostatnie za lepsze i z nosem przy ziemi, nie tracąc ani jednego atomu woni, puścił się po tropie.

Na kraju lasu posłyszał dzwonki sanek. Skrył się w cieniu drzewa, przepuścił sanie, poczekał aż ucichły w oddali, i ruszył naprzód przyspieszonym kłusem dla nadrobienia straconego czasu. Cel jego marzeń prawdopodobnie przesznurował dolinę i przez zamarzłą rzekę przeszedł do sąsiedniego rewiru. Rewiru? Przepraszam za to słowo! Lis nie ma i nie zna innych rewirów prócz jednego, tego mianowicie, w którym właśnie poluje. Toteż i Cygan, nie oglądając się na jakieś granice, znikł po drugiej stronie rzeki.

Trop tu zupełnie świeży, jak to mówią „ciepły“, upragniona musi być nie daleko. Istotnie — w lesie ozwało się ciche skomlenie... Prąd elektryczny przebiegł ciałem Cygana. Na oślep, co sił biegł tropem. Nareszcie — widzi ją. Jest w towarzystwie. Stoi przy niej okazały, rudy lis; musiał i on spostrzec rywala, bo ze złością zamiata śnieg puszystą kitą.

Cygan bez namysłu przyskoczył na jakie 10 kroków, a wtedy rudy wyszczerzył kły, warcząc ostrzegawczo.

Mimo to Cygan próbował bądź co bądź zabrać z liszką bliższą znajomość, gdy w tem rudy w ostatniej pasji rzucił się na niego, siłą uderzenia powalił na ziemię i chwycił kłami za kark. Cygan wywinął się jak piskorz i przeszedł do ataku. W miesięcznym blasku oba ciała zlewały się w jedną całość i tylko dwie śmigające kity świadczyły, że tu walczą dwaj zapaśnicy. A liszka tymczasem najobojętniej w świecie usiadła opodal, chwilę patrzyła na krwawy pojedynek, w końcu podniosła zadnią nogę, przechyliła zalotnie główkę i energicznie zaczęła przywoływać do porządku jakąś dokuczliwą pchełkę za lewym uchem.

Cygan walczył, jak bohater. W szale bojowym nie czuł uderzeń, nie czuł ciepłej krwi, płynącej po futerku z kilku ran, nie czuł bólu w rozciętej szyi, ani dziwnej jakiejś sztywności grzbietu. Płynęły minuty za minutami i zdawało się, że walka będzie nierozstrzygnięta. Szale musiały jednak przechylić się na tę stronę, gdzie z siłą łączyło się doświadczenie i rutyna.

Zmiarkował Cygan, że walkę przegrał i wycofał się, nie napierany przez przeciwnika, mocno zresztą pokieraszowanego. Nadwyrężona szczęka, obruszony kieł, z boku wyrwany płat skóry wielkości dziecinnej dłoni, a co najważniejsza, bezwładna, przegryziona do kości przednia noga, oto pamiątki po Cyganie, niespełna rocznym młodzieniaszku. Na myśl, coby było, gdyby Cygan był choć trochę starszy i gdyby zapas ten był choć drugim jego zapasem, dreszcze przechodził po skórze zwycięzcy.

Rozeszli się więc rywale z błyskami gniewu w oczach. Co sobie myślała liszka, trudno zgadnąć; skrzywiła pyszczek, jakby z rozczarowaniem i, gdy Rudy chciał się do niej zbliżyć, dała mu wyraźną odprawę gniewnym kłapnięciem zębami.

Cygana zaś odbiegła zupełnie myśl o amorach. Kulejąc, wrócił w rodzinne strony, wlazł do nory i leżał, jak martwy, przez kilka dni. Serce przez ten czas umilkło, natomiast odezwał się żołądek.

O liszce tego roku już nie myślał. Raz tylko, natknąwszy się na świeży trop samicy, podniósł w górę śpiczastą mordkę i zaskomlał płaczliwie. Tęskny jego głos poniósł się na góry i doliny, na lasy i pola. Żerujący na oziminie zając stanął słupka i długo strzygł słuchami, nim przypomniał sobie, że to czas lisich godów, gdzie lis ma na myśli rzeczy o wiele ważniejsze, niż zajęczy comber.

Echo lisiej tęsknoty usłyszała i sowa, szykująca pod krzakiem tarniny na myszy. Zakwiliła płaczliwym głosem dziecka, o całe stoośmdziesiąt stopni obróciła głowę, poczym dla bezpieczeństwa schowała się w nastroszone piórka.

I wydrze starej przerwał głos Cygana zwykłą poszukiwawczą pracę nad potokiem. Wiedziała wprawdzie, że nic jej nie grozi, lecz dla pewności nurknęła w odparzoną dziurę lodową.

A kokietki - liszki, nie czekając nocy, jeszcze przed zachodem słońca wychodziły na promenadę, stale otoczone przez kilku wielbicieli.

Obaj nasi rywale nie brali udziału w tym flircie. Może im obrzydły zaloty, a może coś ważniejszego mieli na myśli... Ciężkie jest życie każdego stworzenia, a najcięższe może — lisa. Albo staraj się o ochłap bodaj dla wiecznie głodnego żołądka, albo myśl o własnej skórze i ponętnem dla każdego — futerku! d. n.)

WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

Zakończenie części pierwszej.

W artykułach ogłaszanych w „Łowcu“ w ciągu lat 1935 i 1936, omawiałem ten rodzaj muzyki myśliwskiej, który możnaby nazwać muzyką o myślistwie, czyl. muzyką, opiewającą myślistwo. Dział ten obejmuje wię. pieśni, marsze, utwory operowe itd. oparte o tematy myśliwskie.

Artykuły te częściowo tylko dały się utrzymać w systematycznym porządku, często zaś były przerywane jużto jakiemś sprawozdaniem aktualnem jużto jakiemś uzupełnieniem. Nie było mojem zadaniem wyczerpanie materjału. Przeciwnie, rzecz traktowałem raczej przykładowo, mając na celu zwrócenie uwagi tak na bogactwo utworów jak i na niejeden utwór zapomniany. Pragnąłem rozbudzić nowe zainteresowanie dla pieśni myśliwskiej w najszerszem słowa pojęciu, a zarazem zachęcić do rozpoczęcia poszukiwań na tem polu. Trzeba będzie kiedyś przystąpić do metodycznej inwentaryzacji naszego dorobku w tej dziedzinie, nie mówiąc już o konieczności badań muzykologicznych nawet nie rozpoczętych.

Część pierwszą mych artykułów, które nazwałem szkicami uważam za ukończoną. Stanowi ona całość w sobie zamkniętą. Możnaby ją w różnych kierunkach rozszerzać.*)

W przyszłości mam zamiar przystąpić do drugiej serji szkiców, których tematem byłby ten rodzaj muzyki myśliwskiej, jakiby można nazwać właściwą muzyką myśliwską. Mam na myśli hasła, pobudki, fanfary, a więc te wszystkie odglosy, od prymitywnych począwszy a na skomplikowanych utworach skończywszy, które związane są ściśle z samem wykonywaniem polowania. I jużto służą do porozumiewania się w czasie łowów, jużto stanowią część myśliwskiego ceremoniału.

*) W miarę drukowania poszczególnych artykułów przygotowana była zbiorowa odbitka, która obecnie poddana będzie zbroszurowaniu w 100 egzemplarzach. Zatrzymywanie arkuszy już wydrukowanych aż do ukończenia całej pracy to jest także i części drugiej mogłoby spowodować ich uszkodzenie, zwłaszcza, że termin ukończenia całości nieda się przewidzieć.



Wielkiej Myśliwej pośmiertne wspomnienie

Gdy myśl czasami ze smutnej teraźniejszości więzów uwolnić zdołam, leci ona wstecz, w dawne dobre czasy, w młode lata, lata w których łowy były dla mnie rozkoszą życia. I myśląc o nich, przypominam sobie i starych moich towarzyszy — którzy w przeważnej części polują już w rewirach św. Huberta.

Jeden z Nich odszedł znów w świat lepszy. Jest nim MARIA Z FREDRÓW SZEMBEKOWA, zmarła w dniu 4 stycznia b. r. w Przyłbicach w 75 roku życia u swych dzieci Leonostwa hr. Szeptyckich.



Ś. p. Maria z hr. Fredrów hr. Szembekowa

Tej Pani, z krwi i kości myśliwej, tym bliższej nam sercem, że tak bardzo naszej, gdyż urodziła się we Lwowie, w starym Fredrowskim, dziś już nie istniejącym dworku, należy się w „Łowcu“ słów kilka serdecznego pożegnania.

I znów wrócę myślą w dawne lata. — Cały cykl polowań w Beńkowej Wiszni u śp. Andrzeja hr. Fredry, brata Zmarłej, mego sąsiada i przyjaciela. Przez szereg lat polowałem tam w Jej przemiłem towarzystwie. Była to myśliwa w całem znaczeniu tego słowa. — Doskonały strzelec, nielubiąca żadnych specjalnych dla siebie, jako dla kobiety, względów na polowaniu, zawsze wesoła, uśmiechnięta, „un bon compagnon“ w każdym calu.

Była to łowczyni-poetka. Bo choć mieszkała w Poznańskiem i strzelała bażanty i zajęcy na tysiące, najmilszem dla niej było polowanie w pojedynkę, podjazd, czy podchód rogacza, wycieczka w góry, łódką po rzece. Była to dusza myśliwska, szczęśliwa wtedy, gdy z ukochaną mogła obcować przyrodą. Myślistwo było przemożną jej pasją życia, której hołdowała w sposób jaknajbardziej szlachetny i etyczny, nie zaniedbując jednakże swych obowiązków życiowych, była bowiem najlepszą Polką, żoną i matką.

Pani, wielkiego rodu, wielkich tradycyj, które umiała czcić i przekazać jako świętość następnemu pokoleniu, po ojcu Janie Aleksandrze i po dziadzie Aleksandrze, naszym wielkim komedjopisarzu, odziedziczyła wybitny talent literacki. Jej poezje to kwiaty zbierane po łąkach, polach i lasach ojczystych, a także bicze smagające w sposób cięty i dowcipny różne słabostki ludzkie i wady narodowe.

Wiele prac tych okazało się w druku; podaję niekompletny niestety ich spis, jakim w tej chwili rozporządzam.

Wiersze ulotne w dwóch wydaniach, Kraków 1887 i 1893, Na jawie i we śnie, zbiór nowel, Kraków 1927, W błędnem kole, wiersze, Poznań 1919, Pogrzeb, Poznań 1920 (grany we Lwowie pt. Dziś i jutro), Ku rozweseleniu ducha, bajki i fraszki, Poznań 1920, Rozkołysany dzwon, poezje, Poznań 1920. Niegdyś, wspomnienia o Aleksandrze Fredrze, Lwów 1927, Same tajemnice, powiastka dla dzieci, Poznań 1932. Cykl ten zakończa książka pt. Klapsy, zbiór ciętych satyr politycznych i obyczajowych, wydana w Poznaniu 1936 na kilka dni zaledwie przed śmiercią autorki.

Dorobek Jej myśliwski przedstawia się w tysiącach zajęcy, bażantów i kuropatw. Niedawno święciła uroczyście ubicie 800-ego rogacza.

Osoba ujmującej powierzchowności ,pełna wielkiej kultury, inteligencji, dowcipu i wszelkich zalet towarzyskich pozostawia po Sobie ogólny i szczery żal, nie tylko wśród sobie bliskich, ale także wśród wszystkich, którzy się kiedykolwiek z Nią zetknęli.

Cześć Jej pamięci.

Albert Mniszek

Echa Polskich łowisk

Jednodniówka wydana z okazji 30-lecia istnienia Wielkopolskiego Związku Myśliwych, pod redakcją Komitetu, w którego skład wchodzili p. p. A. Lossow, L. Martyniec, Fr. Unrug i St. Woszczyński. Zeszyt w formacie 4^{0}, stron 100, bogato ilustrowany o pięknej artystycznie wykonanej okładce, druk Drukarni Rolniczej w Poznaniu, nakładem własnym. Cena zł 3,20.

Treść: Władysław Janta Połczyński, Trzydziesta rocznica. Adam Rzewuski, Raj myśliwych i jego uprzywilejowany Zakątek. Zofia Kelus-Lipkowska, Z pamiętnika łowieckiego. Mieczysław Mniszek-Tchórznicki, Łowiectwo i ochrona przyrody. Tytus Kazimierz Karpowicz, Zarys historii rozwoju łowiectwa. Józef Władysław Kobylański, Ignacy Bobiatyński, autor „Nauki Łowiectwa“. Stanisław Hoppe, W obronie naszego zaniedbanego języka myśliwskiego. Józef Władysław Kobylański, Zwierzyńce w Kórniku. Prof. dr Edward Schechtel, Rasy zwierzyny i ich znaczenie dla łowiectwa. St. Woszczyński, Pierwszy zew (wiersz z cyklu „Rykowisko“). Fr. J. Unrug, Łowiectwo lasów prywatnych w Wielkopolsce Inż. W. Solecki, Rozwój zwierzyny płowej na terenach Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu. — Inż. Leon Martyniec, Odstrzał zwierzyny płowej, oraz krótki rys hodowlany na terenach Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu. Feliks Dangel, Jeleń w herbie. Inż. Leon Martyniec, Odstrzał selekcyjny jeleni jako zabieg hodowlany. Inż. Stanisław Woszczyński, Przyczyny spałowania młod-

ników sosnowych przez jelenie i możliwości zapobieżenia temu. Władysław Zabiełło, Myśliwskie serce (szkic do powieści). Dr inż. Leon Ossowski, Daniele w otwartych łowiskach (szkic biologiczno-hodowlany). Stanisław Woszczyński, Samotnik (wiersz). Inż. Wiesław Szczerbiński, Hodowla sarn i plan ich odstrzału. Inż. St. Woszczyński, Niesamowity (szkic myśliwsko-przyrodniczy). Prof. Dr Kazimierz Wodzicki, Problem leporydów — przyczynek do biologii porównawczej zająca i królika. Jerzy Dylewski, Myśliwy i jego pies. Leopold Pac-Pomarnacki, Nieco o cietrzewiu. Jan Sokołowski, Kilka szczegółów z biologii bażanta. Inż. T. Śliwiński, O właściwy termin polowania na kuropatwy. Franciszek Szablewski, „Stary Kuba“. Saturnin Mrávincsics, Kula. Józef Jastrzębiec-Szczepkowski, Śmierć myśliwego (wiersz).

Jak widzimy z powyżej umieszczonego spisu, zeszyt zawiera prace ze wszystkich niemal dziedzin łowiectwa polskiego. Znakomicie opracowany jest dział naukowo-hodowlany przez pierwszorzędne pióra myśliwych-hodowców, jak też i przez uczonych-przyrodników.

Co do artykułu p. F. Dangla pt.: „Jeleń w herbie“. pozwolę sobie zrobić do ustępu omawiającego dzisiejszy stan rozmieszczenia jelenia w Polsce pewne zastrzeżenie. Sz. Autor twierdzi, że jeleń ogranicza się dzisiaj jedynie do ziem Wielkopolski, Beskidu i Karpat (nie biorąc naturalnie w rachubę jelenia hodowanego sztucznie), i że granicą jego mieszkania jest lewy brzeg Wisły. Otóż, twierdzę, że tak nie jest. Trójkąt utworzony z rzek Wisły i Sanu, a więc na wschód od Wisły, którego podstawą jest linia kolejowa z miastem Rzeszowem w pośrodku, zawierający wielki kompleks lasów, posiada szczególnie u wierzchołka i w północnej swej części, od wielu dziesiątków lat bardzo obfity stan jeleni. (Lasy: Dzików, Mokszyszów, Rozwadów, Nisko, Grębów, Narty, Bojanów i inne). Mamy również w Małopolsce środkowej od pół wieku jelenie nizinne w pokaźnej ilości w powiecie mościckim i samborskim. (Lasy: Krukienice, Tamanowice, Bolanowice, Radochońce, Rajtarowice, Czyszki i inne). Wreszcie, wskutek ciągle zwiększającego się stanu jeleni w Karpatach wschodnich, schodzą one na niziny, w coraz to większej ilości i zapełniają je, podchodząc do linii kolejowej Stanisławów—Przemyśl. Większa ich część wraca wprawdzie na czas rykowiska do swych górskich pieleszy, reszta jednak i to z roku na rok coraz to częściej odbywa gody na nizinach. Te ostatnie uważać musimy już za jelenie nizinne.

Z działu beletrystyki na specjalną uwagę zasługuje krótki artykuł p. Kelus-Lipkowskiej pt.: „Z pamiętnika łowieckiego“. Jestto z ogromnym uczuciem oddany hołd sile twórczej myśliwskiego nerwu. Przeżycia myśliwskie bowiem, to skarbiec wrażeń na tle przyrody, co tworzą często arcydzieła pióra, pędzla i dłuta. Słusznie pisze Autorka, że „tych którzy umieli dzień po dniu prowadzić swój pamiętnik łowiecki, saldo ich nie jest rachunkiem ubitej zwierzyny, lecz sumą niezapomnianych wrażeń. Jest tam wszystko: obraz białej zimy Fałata, oprawnej w lodowe ramy za mgłą w szron zamieniającego się oddechu i resztki jesiennego słońca na pniu białej brzozy, lub złocistej sosny, rosnącej wśród liliowych wrzosów — z teki Rapackiego“. Artykuł ten, zdradzający wielki talent literacki młodocianej Autorki, to pieśń o cudownej melodii, którą podchwyci z ochotą każde serce myśliwskie i nucić ją kiedyś będzie w smutnych dniach starczego bezrobocia — bo cóż może lepiej koić duszę łowca, który broń już swoją na zawsze powiesił na kołku, niż myśliwskie wspomnienia!

I jeszcze jednej pracy pomieszczonej w poznańskiej jednodniówce muszę poświęcić kilka wierszy, choćby z tego względu, że jej autor a zarazem autor recenzji w „Łowcu Polskim“ o swojem dziele nie mógł nic napisać, wypełniam więc tym samym powstałą ztąd lukę. Lecz nie tylko wzgląd powyższy każe mi pisać o noweli p. Zabiełły pt.: „Myśliwskie serce“, ale i ten, że jest to bowiem szkic powieściowy, napisany pięknie i potoczyście — (jak zresztą wszystko, co pisze Zabiełło) — a osnuty na tle wiecznie zielonych borów i mszarów litewsko-białoruskich. Nie znam Go niestety osobiście, ani Jego przeżyć, mogę się więc mylić, jeżeli sądząc z Jego nazwiska i pracy, twierdzę, że tylko wielkie umiłowanie tych Jego stron ojczystych i do nich niezmierna tęsknota, kazały pióru Jego narysować ten prześliczny szkic i zawarte w nim przeżycia Wojciecha Zbożenia.

Z powodu szczupłości miejsca, jakim w tym numerze rozporządzam, nie mogę już wprowadzić choćby krótkich wzmianek o innych pracach umieszczonych w jednodniówce. Są wszystkie doskonałe. Powinszować trzeba Komitetowi redakcyjnemu umiejętnego wyboru autorów. Zeszyt ten powinien znaleźć się wkrótce w każdym polskim księgozbiorze łowieckim, jako jego ozdoba i być w nim zachowany jako dokument świadczący o wielkim umiłowaniu łowiectwa i przyrody przez dzisiejsze pokolenie, ku wiadomości i pożytkowi potomnych.

Albert Mniszek

KINOLOGIA

Maść foxteriera ostrowłosego

O tym tak bardzo ważnym punkcie w hodowli foxterierów dotyczącym maści, zapatrywania są tak rozbieżne, że w tej sprawie uważam za konieczne podać następujące wyjaśnienia.

Foxterrier był wprawdzie przedtem zasadniczo biały, i jeszcze dzisiaj 95% przyjaciół psa jeżeli mowa o foxterierze, myśli o białym, względnie prawie białym psie, który ma jakąś czarną albo inną ciemną plamę na głowie lub uchu, nie zwracają zaś zupełnie uwagi na wszystkie zasadnicze cechy tej rasy, tj. wygląd ogólny (budowa): długa głowa, odpowiednie rozstawienie uszów, nogi proste przednie, i odpowiedni kąt rozwarcia tylnych, prosta szyja, krótkie krzyże, prosty ogon, gruba silna kość, twardy falisty włos, oko małe ciemne (czarne), silne uzębienie o schodzącym się chwycie.

Naprzykład, wybitni znawcy psów, tj. foxterrierów ostrowłosych p. p. Strucki i Toelle, wychodzą z założenia, że ubarwienie jest rzeczą uboczną, że psy mogą być znaczone po całym ciele, czarno-bronzowo, żółto, popielato, a że kolory brzydkie, jak ciemno bronzowy i popielaty, same zostają z hodowli wyeliminowane, zaś rzeczą najważniejszą, są wszystkie zasadnicze cechy tej rasy, i mają z pewnością słuszność.

Znacznie ważniejszą rzeczą jest samo rozłożenie kolorów. Jak to już wspomniałem, foxterrier pierwotnie był biały, z czasem jednak, całkiem powoli przyszły w domieszce wszystkie kolory, i co, nawet musimy przyznać, go upiękrzyło.

Anglicy którzy są twórcami tej rasy, z góry dobrze wiedzieli, czego chcą, to też już w tenczas oznaczyli, że . biały kolor musi być dominującym“, zaś Niemcy u których hodowla psów stoi bardzo wysoko, mówią, że „biały kolor powinien być dominującym“, czyli, że ciemnego koloru może być więcej niż białego! Więc nawet pies, który ma duży ciemny czaprak na całym grzbiecie, będzie miał mimo to dominującą farbę białą, bo trzeba wziąć pod rozwagę białe nogi, białe podbrzusze, białą szyję.

Źle widziane są znaczenia, żółte, ciemno pasiaste, czerwone, żółte, albo popielato-niebieskie, zaś najładniejsze, są trzy kolory, tj. biały ze znakami, czarno żółto podżarymi.

Ci wszyscy hodowcy i amatorzy, którzy patrzą na foxterriera, jako na psa czysto użytkowego do polowania, często nie zwracają uwagi, jak pies jest znaczony. Ja sam jestem wielkim i zapalonym myśliwym, ale też i wzorowym hodowcą, w mej hodowli prowadzę selekcję, w kierunku użyteczności psa i jego wyglądu, gdyż nie wolno zanadto wysuwać na pierwsze miejsce tylko kierunek użyteczności psa. Zawsze i wszędzie, wszystkich przed tym błędem przestrzegam, gdyż wtenczas może przyjść taki moment w danej hodowli, jaki przed paru laty przeżywali niektórzy hodowcy „spanieli“ i „Airedale-terrierów“, których psy były selekcjonowane tylko w kierunku użyteczności i z powodu tego błędu, prawie zupełnie zniknęły z wielkich wystaw i pokazów, gdyż zanadto odbiegły od swoich zasadniczych cech rasy.

Musimy wszyscy trzymać się ściśle, wszędzie tj. w każdej hodowli, pewnego rodzaju ustalenia farb, w innym wypadku może bowiem przyjść taki dzień, że nie będzie można znaleść różnicy, dajmy na to między małym Airedale-terrierem a Welschterrierem, albo nawet tak zwanym niemieckim myśliwskim terrierem, a nie wątpię, że nikt z nas nie chce dopuścić do takiego chaosu, we wzorowych i zarodowych hodowlach.

Zrozumiałą jest rzeczą, że wszyscy nie chcemy psów brzydko znaczonych, będziemy zatem zawsze sami wedle możności je usuwać z hodowli, bo przecież, o ile to jest jeszcze możliwe, każdy z poważnych hodowców chce u siebie chowane foxterriery jeszcze ulepszyć i upiększyć. W hodowli użytkowych psów, trzeba pamiętać że foxterrier jest przede wszystkim psem myśliwskim, a to psem ziemnym, posokowcem i dzikarzem, a do tego użytku, im ma więcej białego, tem lepiej i korzystniej. Psu który ma białe na głowie nigdy nie może grozić niebezpieczeństwo, gdy wyłazi z jamy, jak takiemu, który swoją farbą jest podobny do lisa, także srokaty pies, przy dzikach nie jest tak narażony na postrzelenie przez myśliwego.

Stefan Wiktor

* * *

KOMUNIKAT

Dnia 5 lutego br. urodziła importowana szkocka terierka „Jerry p. Herzogpark-Józefina Besker Sch. Z. Z. B. Bd. XV. Nr. 8660“ siedmioro szczeniąt po „Altesse Lopek z Belwederu Sch. T. Z. B. Bd. XXV, Nr. 9680. Matka i szczenięta zdrowe.

Amatorska hodowla ostrowłosych terrierów „Victoria“. Załuż, o. p. loco. — Stefan Wiktor

Korespondencje

Lwów, w styczniu 1937 r.

W dniach 25, 26 i 27 stycznia br. odbyło się polowanie w dobrach hr. Stan. Badeniego w Pukaczowie obok Radziechowa. Podniesiono 140 zajęcy, 14 lisów na 20 strzelanych i 2 rogacze.

Pierwszego dnia polowano w Pukaczowie w jedenaście strzelb, przy —24° C. i przy silnym wietrze padło na 146 strzałów 61 zajęcy, 2 rogacze i 1 lis.

Drugiego dnia w dwanaście strzelb przy tak samo mroźnym powietrzu i jeszcze silniejszym wietrze podniesiono 68 zajęcy i 12 lisów na 218 strzałów.

Trzeciego dnia opolowano w Józefowie las 260 morgowy położony wśród pól. W 4 miotach w 7 strzelb strzelono 11 zajęcy i 1 lisa, na 58 strzałów.

Zwykle padało w tym lasku około 50 zajęcy i kilka lisów, dnia tego lisy i zające były w polu.

Za silny mróz i silny wiatr bardzo przeszkadzały w polowaniu, gdyż nie można było utrzymać broni w ręku w pogotowiu do strzału dłużej niż kilka minut z obawy przed odmrożeniem, przez co dużo zajęcy zwłaszcza w młodnikach przeszło nie strzelanych.

Do rogaczy strzelano tylko wyjątkowo, stan sarn bardzo ładny, sarny były w każdym miocie widziane i to w dużych ilościach.

W lecie na podjazdach strzelono bardzo skromnie tylko dwa rogacze. Całego rewiru nie opolowano, tylko partie lasu położone bliżej pól, a jak się pokazało najwięcej zajęcy było na wysokim lesie, a z gęstych młodników sosnowych trudno je było wypędzić.

Polowanie prowadził sprawnie i energicznie Pan Bronisław Ditrich, który prócz tego jako hodowca zasługuje na uznanie. Niestety po zeszłorocznej epidemii stan zajęcy nie przyszedł jeszcze całkiem do siebie.

Prócz tego odbyły się polowania w następujących rewirach hr. Badeniego, a mianowicie: Dnia 18 grudnia 1936 r. w Woli Chołojowskiej w 6 strzelb strzelono przy pięknej pogodzie i śniegu 24 zajęcy, 1 lisa i 1 rogacza. Stan sarn bardzo dobry, zajęcy gorszy.

Dnia 30 grudnia 1936 r. w Leszczynowie obok folwarku Karanie w 6 strzelb przy śniegu i pogodzie podniesiono 33 zajęcy i 1 lisa. Do rogaczy nie strzelano. Stan zajęcy i sarn dobry. Oba te polowania mogły wypaść znacznie lepiej, ale było za mało myśliwych na tak duże mioty.

W Witkowie tego sezonu nie polowano, a szkoda bo dziki tam często zalegają, a stan zajęcy znacznie się poprawił.

Cześć św. Hubertowi!

Mr. St. Jaśkiewicz

Dnia 20, 21 i 22 stycznia b. r., polowano w dobrach Busk pow. Kamionecki. Pierwsze dwa dni w polu w 8 i 10 strzelb przy znośnym mrozie z wiatrem — na rozkładzie 327 zajęcy i 1 lis. — Trzeci dzień w lesie, silny mróz. Rewir Grabowa, daw w 10 strzelb 3 dziki, 1 lisa i 14 zajęcy. Poza tym 5 spotkań z dzikami było nie wykorzystanych, gdyż za wyjątkiem dwu myśliwych, wszyscy strzelali nawet parokrotnie do dzików, ale ...człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi!

Polowanie wzorowo prowadził w polu inż. Humnicki, w lesie inż. Pawłowski.

K. G.

Dnia 4 i 23 stycznia polowano w Batiatyczach pow. Kamionecki u A. Papary. Pierwszy dzień przy zupełnej odwilży w 10 strzelb w polu dał 158 zajęcy, drugi dzień przy silnym mrozie w 6 strzelb dał 110 zajęcy również w polu, razem 268 zajęcy. — Polowanie sprawnie prowadził właściciel.

K. G.

Podkamień, w styczniu 1937.

Zachodząc na znany mi przesmyk Okiery, zobaczyłem na odległości około 200 kroków dwadzieścia defilujących dzików, które wyszły z miotu.

Trudno — naganka rozstawiona — zrezygnowany staję na stanowisku, dając sygnał, by ruszyła i prosząc Św. Huberta, ażeby doszła jak najprędzej, by móc dziki w sąsiednich miotach obciąć.

Wtem śnieg przedemną zaskrzypiał i widzę w gąszczu stoi dzik potężny, wietrząc, błyska szablami. Z rozmiarów jego poznaję, że to musi być ten, którego w okolicy dziadkiem nazywają. Szczyt marzeń niejednego z myśliwych.

Stał długo, wreszcie zwietrzył trop dzików które wyszły z miotu i ufny, że i on wyjdzie cało z opresji, idąc w ich ślady. Pewność ta go zgubiła.

Gdy w ogromnym skoku przesadzał linię, pewny że znów uszedł myśliwemu jak to od szeregu lat mu się udawało, kula z „Heyma" przecięła nić jego burzliwego żywota.

Migające dziwacznie w powietrzu, płatki śniegu przysłaniały świąt przejrzystą, zwiewną firanką, obielały ziemię miękkim puchem, pokrywając skrwawione zwłoki odyńca.

Bór, który go wychował, oddawał mu ostatnią przysługę.

Józef Oczkiński

Kulawa, dnia 1 lutego 1937 r.

Dnia 12 i 13 stycznia b. r. polowaliśmy w Derewni pow. Żółkiew. W miotach leśnych przy obsadzie 10 stanowisk wyznaczonych starannie wyplecionymi koszami, padło 184 zające i 1 lis. Dobry ten rezultat w niesprzyjających warunkach terenowych jak wszędzie w północnej części pow. żółkiewskiego, świadczy o dużej opiece i zamiłowaniu dla zwierzyny, jakim ją otaczają właścicielki rewiru p. Konstacja i Zofia Starzyńskie. Polowanie wzorowo przygotowane i prowadzone dało prawdziwą przyjemność myśliwską.

Dnia i 18 stycznia br. polowaliśmy w Zadubrowcach na Pokuciu. Znana to miejscowość z pięknych polowań, jakie urządzał przed laty śp. Zdzisław Czaykowski na swych polach i okolicznych włościan. Obecny dziedzic rodzinnego majątku Michał Czaykowski dokłada wszelkich starań, by utrzymać tradycję zadubrowieckich polowań. To też starania jego zostały uwieńczone pięknym rezultatem, bo na ostatnim polowaniu w 7 strzelb zdołaliśmy odstrzelić 412 zajęcy, to jest najwyżej 50% widzianych i wychodzących z ogromnych kotłów. — Nie należy pominąć faktu, że przy 20° mrozie w czasie polowania padł kszyk w kotle, wzlatując z małego oparzeliska.

Jerzy Sikorski

Lwów, w lutym 1937 r.

Odkąd władam bronią, za wyjątkiem okresu wojny, spędzałem zawsze, a od 7 lat razem ze synem przyjeżdżającym z daleka na ten czas, sezon zimowych polowań na Podolu, które pięknymi i sercu szczególnie miłymi wspomnieniami przykuło nas silnie do siebie.

Po roku szukania na innym terenie nowych bogów, znaleźliśmy się 9 stycznia br. dawnym zwyczajem znowu na pięknym Podolu i wytrwaliśmy tam w miłym nad wyraz znoju do ostatniego dnia stycznia.

Wyjeżdżaliśmy ze Lwowa, gdy przydługą do gruntu odwilżą rozmokał ziemia krzepła i bielić się poczynała.

Gdy przybyliśmy do Czortkowa, była już prawdziwa zima, która bez przerwy z dnia na dzień czym raz lepiej ustalając się, zgotowała nam prawdziwie piękny okres łowów. W czasie od 10 do 30 stycznia braliśmy udział w 15 polowaniach.

Św. Hubert błogosławił niekiedy znamienicie. Całość godzi się nazwać jednym z najlepszych naszych zimowych sezonów łowieckich. Najmilsze wspomnienia łączą się z polowaniami w Dawidkowicach powiat Czortków 25/I, w Glinnej powiat Buczacz 19/I, w Zalesiu powiat Czortków 15/I.

Dawidkowice, dzięki wyjątkowo troskliwemu stałemu opiekowaniu się zwierzyną właściciela łowiska P. Jerzego Gołąbskiego, dały piękny wynik, bo 5 lisów i 234 zajęcy, z tego w ostatnich dwóch małych miotach 4 lisy i 150 zajęcy.

Dokazywał tu syn mój mając lisa i 26 zajęcy. Gospodarz, miły towarzysz z pod znaków św. Huberta, miał za swą, nieraz na bardzo ciężkie przeciwności napotykającą pracę około podniesienia zwierzostanu, dużą satysfakcję, widząc rozpromienione radością twarze drużyny myśliwskiej, spracowanej srodze nieustającą pod koniec palbą. Stan sarn obficie karmionych piękny, z dzikami w tym dniu nie było spotkania.

Szczególnie pięknie nad Strypą położona Glinna, dzięki zarządcy lasów P. Łossowskiemu wytrawnemu wyśliwemu i bardzo starannemu hodowcy, dała nam dużo miłych przeżyć kształtujących się cyfrowo pokotem z 6 lisów (5 w jednym miocie) i 110 zajęcy. Dziki karmione do syta, wykpiły się, przechodząc po otropieniu do innych miotów.

Zalesie, ze świetną tradycją przedwojenną, stanowiące nawet w obecnie lokalnie do gruntu zmienionych warunkach, dzięki pieczołowitej opiece doskonałego gajowego Petra, dobry teren łowiecki, było dla mnie szczególnie łaskawe pozwalając mi podnieść dorobek sezonu o 27 zajęcy bez pudła. Ogółem dało Zalesie 2 lisy i 99 zajęcy.

Wszystkim zacnym gospodarzom kniei, w których danem nam było gościć, niech mi wolno będzie złożyć raz jeszcze serdeczne podziękowanie.

Na zawsze wierny pięknemu Podolu

Zygmunt Gruziewicz

Z powiatu Jarosławskiego.

Tegoroczny sezon polowań w południowej części powiatu Jarosławskiego przyniósł wiele niespodziewanych wyników i postawił właścicieli łowisk przed wieloma zagadkami.

Przede wszystkim kuropatwy nie dały w tym roku tych rozkładów, jakich się można było spodziewać. Pomimo doskonałych warunków atmosferycznych w czasie lęgów, ochrony i tępienia szkodników, w przeważającej części terenu stan ich nie przewyższał zeszłorocznego, a nawet u niektórych właścicieli łowisk był znacznie niższy. Należy przytem podnieść, że w większości wypadków w zeszłym sezonie nie wykorzystywano pełnego możliwego odstrzału, ale celem podwyższenia stanu, pozostawiano znacznie więcej, niż w stosunku do znajdujących się stad, można było odstrzelić. Widocznie jakieś nieznane czynniki wpłynęły na to, że mimo wszelkich ku temu istniejących warunków ,stan kuropatw się nie podniósł.

Miłą natomiast niespodziankę sprawiły w tym roku bażanty. Główną ich ostoją jest w naszym okręgu ordynacja Zarzecka, gdzie od kilku lat chowane na dziko i znajdujące się pod racjonalną opieką, rozmnożyły się do bardzo poważnej, jak na nasze warunki ilości. Na dwudniowym polowaniu padło w Zarzeczu 121 kogutów, z czego przeważna część drugiego dnia. Stamtąd też rozchodzą się one do okolicznych majątków, gdzie również pielęgnowane, stanowią miłe urozmaicenie polowań. Drugą ostoją bażantów w naszym powiecie są łozy nad Sanem, gdzie ich stan się również z roku na rok powiększa. Na polowaniu w dobrach Głęboka Zofii hr. Tyszkiewiczowej padło w 3 krótkich miotach łoziny 26 kogutów.

Największą jednak niespodziankę w tutejszym okręgu zrobiła podstawowa nasza zwierzyna, to jest zające. W niektórych terenach łowieckich stan ich był normalny, a czasem nawet bardzo dobry, w niektórych zaś, i to znajdujących się pod bardzo umiejętną opieką właściciela, uderzająco mały. Ciekawym było przytem, że takie różnice wykazywały łowiska, graniczące ze sobą, a będące pod równie staranną opieką właścicieli. O zarazach zajęczych przytem nie słyszałem, w każdym razie padłych sztuk nie znajdowano, co zwykle w czasie zarazy się zdarza, — tak samo wszystkie ubite zające na polowaniach były zupełnie zdrowe.

Stan sarn wszędzie znakomity, do tego stopnia, że bezwarunkowo trzeba będzie w niektórych łowiskach przeprowadzić poważny odstrzał kóz, na co zresztą niektórzy właściciele już zezwolenie uzyskali. Nadmiernej ich ilości przypisuję słabe poroża, które rogacze w przeważnej części tutejszych łowisk osadzają. Jedynie w południowej części okręgu padło w tym roku kilka silnych rogaczy, jest to jednak już teren podgórski, o większych kompleksach leśnych, gdzie sarny mają obfitszą, naturalną paszę i nie znajdują się w takie ilości.

Franciszek Mycielski, delegat

Koropiec n/Dniestrem, 21 lutego 1937 r.

Rozkład tegorocznych zimowych polowań w Koropcu n/Dniestrem, dobrach hr. Stefana Badeniego, wyniósł: 9 lisów, 248 zajęcy. Na dziki nie polowano.

OCENA TROFEÓW

Biuro M. T. Ł. wykonuje na życzenie członków pomiary trofeów według metod przyjętych na wystawach łowieckich. O ile trofea będą nadesłane z prowincji za zwrotem kosztów pocztowych.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 13 lutego 1937 r.

Przewodniczył Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni członkowie Wydziału: Z. Gronziewicz, prof dr St. Gajewski, St. Jaśkiewicz, gen. W. Maryański, St. Pieńczykowski, prof. dr A. Sołowij, inż. T. Sroczyński i A. hr. Zaleski tudzież zaproszeni dr A. Sander i A. Ulm.

Nieobecność usprawiedliwili: wicepr. A. Mniszek i A. hr. Starzeński i pp. dr. K. Obmiński, dr J. Rosienkiewicz, inż. Z. Sander, dr E. Skowroński, inż. B. Welczer, prof. dr W. Ziembicki i zaproszony na to posiedzenie dr A. Lardamer, wicepr. Oddziału Krakowskiego.

Dr A. Sander zreferował sprawę reorganizacji myśliwstwa małopolskiego na podstawie nowego statutu Polskiego Związku Łowieckiego i powiadomił Wydział o przygotowaniach, jakie już poczyniono, by tę sprawę przeprowadzić możliwie najszybciej.

W dyskusji prócz Prezesa zabierali głos Pp.: Gronziewicz, Maryański, Sroczyński, dr Sołowij i Ulm, któremu Prezes podziękował gorąco za przybycie i podzielenie się z Wydziałem uwagami w sprawie, dobrze Mu znanej z pracy w Komisjach Związku.

W poczet członków M. T. Ł. i P. Z. Ł. przyjęci zostali: inż. Karol Barwicz, Ludwik Glodt, Jerzy Gołębski, inż. Andrzej Jakobschy, inż. Bohdan Łuczakowski, Ksawery Borck Prek, Jan hr. Roztworowski, Zbigniew Paliszewski i Maksymilian Wilk.

Mianowano Łowczych i Podłowczych powiatowych następująco:

Województwo Lwowskie

Powiat Bóbrka

Łowczy: Mycielski hr. Ludwik, Borynicze. Podłowczowie: Kielski Stanisław, Bóbrka, Romanów; Zamoyski hr. Franciszek, Chodorów, Bortniki.

Powiat Drohobycz

Łowczy: Jarosz Rajmund, Truskawiec. Podłowczowie: Bielski hr. Adam, Drohobycz, Rychcice; Jarosz Aleksander, Truskawiec, Pomiarki; inż. Kleja Stanisław, Drohobycz; dr Ruczka Aleksander, Podbuż.

Powiat Gródek Jagielloński

Łowczy: Tyszkiewicz hr. Stanisław, Lelechówka. Podłowczowie: Gołuchowski hr. Jan, Janów; Jackowski Kazimierz, Lubień Wielki, Lubień Mały; Stanek Jan, Wiszenka, Zawidowski Jerzy, Zawidowice.

Powiat Jarosław

Łowczy: Gross Marian, Jarosław. Podłowczowie: inż. Gajewski Tadeusz, Nowa Grobla, Korzenice; Kisielewski Stanisław, Sieniawa, Czercze; Kisielewski Zygmunt, Radymno, Zadąbrowie; inż. Małkowski Tadeusz, Sieniawa; Mycielski hr. Franciszek, Pruchnik, Węgierka.

Powiat Jaworów

Łowczy: Szeptycki hr. Leon, Przyłbice. Podłowczy: Janicki Kazimierz, Krakowiec, Sarny.

Powiat Kolbuszowa

Łowczy: Tyszkiewicz hr. Jerzy, Kolbuszowa, Werynia. Podłowczowie: Dudek Franciszek, Sokołów Małopolski, Turze; inż. Węgłowski Stanisław, Kolbuszowa.

Powiat Krosno

Łowczy: Gorayski Adam, Moderówka, Szebnie; Podłowczowie: Kwaśniewski Stanisław, Krosno, Odrzykoń; Lewicki Zygmunt, Krosno.

Powiat Lesko

Łowczy: Krasicki hr. August, Lesko. Podłowczowie: inż. Hirsch Filip, Ustrzyki dolne, Strwiążyk; Rylski Stefan, Ustrzyki dolne, Olszanica.

Powiat Lubaczów

Łowczy: Wattman bar. Hugo, Ruda Różaniecka; Friser Henryk, Lubaczów.

Powiat Lwów

Łowczy: Krzeczunowicz Leon, Jaryczów Nowy. Podłowczowie: Jaśkiewicz Stanisław, Lwów, Głęboka 19; Dr Iszkowski Stefan, Brzuchowice, Rokitno; Dr Obmiński Ksawery, Lwów, Leona Sapiehy 5; Stojowski Jerzy, Zniesienie Laszki.

Powiat Łańcut

Łowczy: dr Midowicz Adam, Łańcut. Podłowczowie: inż. Krawczyński Wiesław, Łańcut, Dąbrówka; Zwoliński Stanisław Grodzisko, Zmysłówka.

Powiat Mościska

Łowczy: Ulm Aleksander, Sądowa Wisznia; Podłowczy: Koziek Teodor, Mościska, Lacka Wola.

Powiat Nisko

Łowczy: Tarnowski hr. Hieronim, Rudnik n/Sanem. Podłowczowie: Komorowski Stanisław, Nisko Bojanów; Łopacki Stanisław, Rudnik n/Sanem, Bieliny.

Powiat Przeworsk

Łowczy: Lubomirski ks. Andrzej, Przeworsk. Podłowczowie: dr Nowiński Marian, Tryńcza; Wolski Zdzisław, Zarzecze Sieniawów; Zwoliński Stanisław, Grodzisko, Zmysłówka.

Powiat Rawa Ruska

Łowczy: Pawlik Roman, Rawa Ruska, Wólka Mazowiecka. Podłowczowie: Hortwig Wilhelm, Rawa Ruska, Szalenik; Marmaross Zdzisław, Uhnów, Wandzin; Prek Ksawery, Rawa Ruska; Romer Stefan, Uhnów, Wierzbica; Siemieński hr. Jan, Magierów, Zamek.

Powiat Rudki

Łowczy: Bal Stanisław, Komarno, Tuligłowy.

Powiat Rzeszów

Łowczy: Jędrzejowicz Jan, Rzeszów, Staromieście. Podłowczowie: Jarochowski Joachim, Czudec, Babice; Dąmbski hr. Stefan, Rzeszów, Rudna Wielka; Gürtler Władysław, Rzeszów; Łastowiecki Antoni, Jawornik Polski, Hadle Szklarskie; dr Midowicz Adam, Łańcut; Milewski-Korwin Stanisław, Rzeszów, Nosówka.

Powiat Sambor

Łowczy: Smalaski Wiktor, Sambor, Uherce Zapłatyńskie Podłowczowie: Martyniec Michał, Spas; Papp Józef, Stary Sambor; Popiel Wacław, Sambor, Humieniec; Podolski Kazimierz, Dublany, Sielec; dr Strzelecki Bolesław, Sambor.

Powiat Sanok

Łowczy: Wiktor Paweł, Załuż; Podłowczowie: dr Domański Stanisław, Sanok; Myczkowski Jerzy, Besko; Potocki hr. Stanisław, Rymanów.

Powiat Sokal

Łowczy: Madeyski Jan, Parchacz. Podłowczowie: Biliński Stanisław, Łuczyce, Szarpańce; Głogowski Tadeusz, Bełz, Wyżłów; Horoszkiewicz Tadeusz, Krystynopol, Dobroczyn; Kosiński Tomasz, Starogród.

Powiat Tarnobrzeg

Łowczy: Tarnowski hr. Zdzisław, Tarnobrzeg, Dzików. Podłowczowie: Fiedler Oskar, Chmielów, Jadachy; inż. Piwocki Hipolit, Rozwadów, Rzeczyca Długa; Tarnowski hr. Artur, Tarnobrzeg, Dzików.

Powiat Żółkiew

Łowczy: Sikorski Jerzy, Turynka, Kulawa. Podłowczowie: Lang Władysław, Mosty Wielkie, Wieczorki; Radzikowski Władysław, Mosty Wielkie, Przystań.

Województwo Stanisławowskie

Powiat Dolina

Łowczy: Groetschel Artur, Dolina, Rachin. Podłowczowie: inż. Dzułyński Jerzy, Dolina; inż. Wasylewicz Zygmunt, Krechowice, Suchodół.

Powiat Horodenka

Łowczy: Przybysławski Kazimierz, Potok Złoty, Uniż. Podłowczy: Gasparski Włodzimierz, Horodenka, Tyszkowce.

Powiat Kałusz

Łowczy: Rozwadowski Franciszek, Bednarów, Babin.

Powiat Kosów

Łowczy: inż. Friser Oskar, Kosów. Podłowczy: inż. Dobiecki Józef, Żabie.

Powiat Nadwórna

Łowczy: inż. Jurkiewicz Roman, Pasieczna.

Powiat Rohatyn

Łowczy: Cieński Józef, Bukaczowce, Czahrów. Podłowczowie. Krasicki hr. Stanisław, Stratyn; Rey hr. Ludwik, Knihynicze, Psary; dr Krzeczunowicz Kornel, Bołszowce.

Powiat Stanisławów

Łowczy: Burzyński Stanisław, Stanisławów, Słowackiego 12. Podłowczowie: Ćwiczyński Kazimierz, Stanisławów; Salwach Juliusz, Stanisławów.

Powiat Stryj

Łowczy: dr Trzcieniecki Janusz, Stryj. Podłowczowie: Barański Włodzimierz, Lubieńce, Siemieginów; Jędrzejowski Tadeusz Mieczysław, Klimiec, Tucholka; Marcinkiewicz Jan, Skole.

Powiat Śniatyn

Łowczy: dr Moysa-Rosochacki br. Michał, Rudniki k/Zabłotowa. Podłowczy: Kawalec Tytus, Wołczkowce, Lubkowce.

Powiat Tłumacz

Łowczy: Bielski hr. Roman, Strychańce, Roszniów. Podłowczowie: Jakubowicz Andrzej, Tłumacz, Bortniki; Ładomirski Zdzisław, Markowce; Wartanowicz Marian, Tłumacz, Pałahicze.

Województwo Tarnopolskie

Powiat Borszczów

Łowczy: Czarkowski-Golejewski Cyryl, Borszczów, Wysuczka. Podłowczowie: Borkowski-Dunin hr. Juliusz, Mielnica; Gołuchowski hr. Agenor, Skała; Sapieha ks. Paweł Florian, Bilcze Złote.

Powiat Brzeżany

Łowczy: Scholz Józef, Brzeżany. Podłowczy: Roja Wacław, Brzeżany, Raj.

Powiat Buczacz

Łowczy: Wieczffiński Jan, Buczacz. Podłowczy: Korytowski hr. Erazm, Jazłowiec, Zaleszczyki Małe.

Powiat Czortków

Łowczy: Potocki Tadeusz, Czortków, Uhryń. Podłowczowie: Glodt Ludwik, Czortków; Gołębski Jerzy, Dawidkowice.

Powiat Kopyczyńce

Łowczy: Baworowski hr. Emil, Kopyczyńce.

Powiat Podhajce

Łowczy: Żyborski Witołd, Wiśniowczyk. Podłowczowie: Niemczycki Leon, Podhajce; Romanowski Aleksander, Horożanka, Stobiecki Stanisław, Podhajce, Sulewy; Strigl Zygmunt, Zawałów, Łysa.

Powiat Przemyślany

Łowczy: Biederman Adam, Janczyn, Błotnia. Podłowczowie: Bochdan Józef, Zadwórze; Wolański Marian, Przemyślany, Ostałowice.

Powiat Radziechów

Łowczy: inż. Jakobschy Andrzej, Radziechów. Podłowczy: Roztworowski hr. Jan, Witków Nowy, Suszno.

Powiat Skałat

Łowczy: Świstuń Włodzimierz, Baworów, Magdalówka. Podłowczowie: Grocholski Kazimierz, Tarnoruda, Rożyska; Prelicz Leon, Skałat; Zaleski hr. Aleksander, Grzymałów, Ostapie.

Powiat Tarnopol

Łowczy: Czarkowski-Golejewski Wiktor Tarnopol, Janówka.

Powiat Trembowla

Łowczy: Gromnicki Jan, Mogielnica, Laskowce. Podłowczowie: Wilk Maksymilian, Budzanów; Zienkowicz Bohdan, Strusów, Słobódka - Strusowska.

Powiat Zaleszczyki

Łowczy: inż. Zerygiewicz Grzegorz, Uścieczko, Iwanie Złote. Podłowczy: Łukasiewicz Jan, Żeżawa.

Powiat Zbaraż

Łowczy: Małecki Władysław, Zbaraż, Roznoszyńce. Podłowczy: Fedorowicz Bolesław, Zbaraż.

Powiat Zborów

Łowczy: Zawidowski Stanisław, Nuszcze.

Powiat Złoczów

Łowczy: gen. Maryański Walery, Płuchów, Ryków. Podłowczowie: Leszczycki Kazimierz, Złoczów; Hupałowski Roman, Łopatyn.

Spowodu trudności personalnych, lub dla braku pewnych informacji nie zostały dotąd przeprowadzone mianowania w powiatach: Brody, Brzozów, Dobromil, Kołomyja, Przemyśl, Turka i Żydaczów. Mianowania w tych pow. nastąpią w najkrótszym czasie. Nadto w powiatach, gdzie mianowano dotąd tylko łowczych, nastąpią dodatkowe mianowania podłowczych. Tak samo spodziewać się należy mianowań dodatkowych w powiatach, gdzie prócz łowczego został mianowany tylko jeden podłowczy i w powiatach bardzo rozległych, gdzie liczba mianowanych dotąd podłowczych okaże się niedostateczną.

KOMUNIKAT

w sprawie kart łowieckich według nowego wzoru.

Zarządzeniem Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 17 listopada 1936 r. Nr. L. IV — 2/3 wprowadzony został nowy typ kart łowieckich. Zarządzenie to przewidywało wymianę wszystkich wydanych już kart łowieckich na karty nowego typu, z terminem do 1 marca 1937. Ten jednak właśnie ustęp zarządzenia został zmieniony reskryptem tego samego Ministerstwa z 29 grudnia 1936, w którym powiedziano: „Karty łowieckie dotychczasowego wzoru, nie wymienione przez ich posiadaczy w terminie przewidywanym w wyżej wymienionym zarządzeniu, nie tracą swej ważności przed upływem okresu, na jaki zostały wydane“.

SPROSTOWANIE

W Nrze 2-gim na stronie 36 w pierwszej szpalcie i w pierwszym wierszu od dołu miało być: „Rezygnacji Jerzego (a nie Stanisława) Zawidowskiego z godności delegata nie przyjęto“.

TREŚĆ NUMERU 3:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50